№ 38. Warszawa, dnia 22 (10) Września 1883 r. Rok III.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Prosimy szan. abonentów naszych o wczesne zapisywanie się na kwartał czwarty dla uniknięcia opóźnień w przesyłce pisma.

NASZA BABEL.

Ponieważ jedno z naszych pism (zagranicznych) wywnioskowało polską żywotność i przewagę cywilizacyjną z powodzeń... koni pp. Krasińskiego i Kronenberga na ostatnich wyścigach rosyjskich, nie należy więc dziwić się wierze i śmiałemu spojrzeniu w przyszłość kilku dzienników warszawskich, których oblicza rozjaśniła wiadomość, że w pewnem kółku arystokratycznem postanowiono używać wyłącznie języka — polskiego. Oba te bowiem pomyślne objawy są równorzędne i do jednako radosnej upoważniają nadziei. Ale złożywszy hołd wdzięczności miłosierdziu owego kółka nad naszą mową w imieniu Kochanowskich, Rejów, Krasickich, Mickiewiczów i Słowackich, rozejrzyjmy się, czy ściany naszego domu są rzeczywiście tak mocne, podwaliny niespruchniałe, czy przez szpary wiatr nie gwiżdże a przez dach woda się nie leje? Niestety, choć konie polskie szczęśliwie dobiegają do mety i arystokraci, na towarzystwo lokajów dotąd skazany język polski, zaczynają przeprowadzać z przedpokoju do salonu, przez wszystkie osłony życia naszego, jak przez rzeszota, przedostają się wpływy, które nas wynaturzają. Przez lat kilka nasz instynkt oprzędzał się mocnym i obfitym kokonem, dziś on nowych nici wysnuwa bardzo mało a dawne targa lekkomyślnie. W całem społeczeństwie osłabła widocznie energia i ustąpiła miejsca obojętności. Już to wytrwałość nie była nigdy naszą cechą narodową a Hanibalowe przysięgi składaliśmy często i spokojnie, ale nie dotrzymywaliśmy ich prawie nigdy.

Jedną z takich złamanych przysiąg jest coraz bardziej rosnące lekceważenie własnego języka, tego języka, o który procesujemy się z całym światem, a który sami krzywdzimy i mordujemy najnielitościwiej. Przed laty był on głównym celem naszych starań, dziś poniewiera nim zarówno posłaniec uliczny, udający filologa w rozmowie z cudzoziemcem, jak dziennikarz, odurzający czytelników szumem wyrazów obcych. Mamy Babel w szynku, Babel w salonie, Babel w prasie, Babel wszędzie, gdzie tylko ludzie usta otwierają. Gdy niemiec zapyta przechodnia o drogę łamaną polszczyzną, niezawodnie grzeczny przechodzeń odpowie mu łamaną — niemczyzną. W jednych chęć mizernego popisu, w drugich bezmyślne małpowanie lub służalcza powolność, w innych wreszcie niedbalstwo pobudza do używania z różnych pierwiastków zmieszanego żargonu. Nierzadko w wagonie kolei żelaznej możemy spotkać rodzinę, w której mąż mówi po polsku, żona po francusku a dziecko im odpowiada po niemiecku, w której dyalogi i zdania pojedyncze splatają się z najrozmaitszych wyrazów. „Jasiu, *montrez* Kaziowi ten widok!" „Bitte, mamo, kawałek *poire*" — te i tym podobne dziwolągi przelatują w głośnych rozmowach z taką śmiałością, jak gdyby nawet nie graniczyły z głupotą. Ale cóż wymagać od skłonnego do skażeń językowych i nieświadomego rzeczy ludu, od pyszałkowatego mieszczaństwa i od wynaturzonej arystokracyi, słowem, od wszelkich głów ciemnych lub pustych, kiedy przewodnicy ogółu, urzędowi stróże mowy ojczystej przetykają jej szatę najcudaczniejszymi szychami! *Oktrojować, systować, laborować, przydzielać, ankiety, tenory, hetzblaty, coupy* — stanowią najzwyklejsze słownictwo gazet, które jednocześnie kpią z żydowskich szyldów i wzywają pomsty niebios przeciw przymusowej germanizacyi. Ale pomijając nawet lekkomyślne domieszki, co to za styl większości polskiej prasy! Jedno z pism poznańskich powiada np.: „postępują *względem* nas *wbrew przeciwnie* duchowi *systemu*, wbrew interesom samegoż rządu i *systemu*." Czy pióro może być niechlujniejszem: nie rażą go ani fałszywie użyte i niedbale zestawione przysłówki, ani powtarzanie się wyrazów (chroniczna choroba naszej stylistyki); wszelka składnia jest dobrą, wszelkie słowo odpowiedniem. Niektórych gazet, nawet zamożnych i wpływowych, niepodobna czytać bez wstrząsającego wstrętu. Zdaje się, że piszą nie literaci, ale kanceliści magistratu, konduktorzy omnibusów lub ekonomowie. Ale nie ubliżajmy tym kategoryom ludzi; pomiędzy któremi może się znaleść niejeden piszący *staranniej*, niż połowa publicystów polskich, nieprzewyższonych dotychczas w niedbalstwie przez wyrobników prasy całego świata. I gdyby to można było przynajmniej o czystość języka nie dbać, gdyby te same, z gramatyką i wzorami naszej mowy pokłócone pióra, nie kreśliły jednocześnie skarg na ciężką jej dolę! W każdym niemal numerze gazety poznańskiej znajduje się skarga na prześladowanie polskiego języka w szkołach niemieckich, skarga, napisana taką ohydną polszczyzną, że ona obrazić zdolna ściany najpośledniejszej knajpy, a brzmi publicznie przed tysiącami czytelników. I jakie prawo do takich żalów mają tego rodzaju rzecznicy? Jakże oni mogą wymagać od niemców szacunku dla polskiej mowy, której sami nie szanują? Czy w tem staczaniu winy na innych tkwi obłuda, czy dziecięca naiwność?

Podnosiliśmy już niejednokrotnie głos w tej sprawie, która stanowi sromotną plamę na charakterze naszym. Roztopieni

w ciągłych narzekaniach na zawistne losy, wyłączamy z nich zupełnie własną naszą winę. Namiętnie broniąc praw swego języka, jednocześnie kaleczymy go, rozwiązujemy z wszelkich prawideł, odzieramy z artyzmu, nurzamy w lada obcem błocie, krzycząc przytem na całe gardło, że to jest święta spuścizna, drogi klejnot i mocna podpora swojskości. Tyleż konsekwencyi i wytrwania w pieczy o inne spuścizny, klejnoty i podpory. Jednej tylko religii rzeczywiście pozostaliśmy wierni chociaż formalnie. Nasi kierownicy opinii do kościoła nie chodzą, spowiedzi nie dopełniają, postów nie zachowują, ale też znowu nie wprowadzają do swego wyznania obcych kultów i nie dają z siebie przykładu wiarołomstwa. Tu zachowują przynajmniej pozorną konsekwencyę. Ale gdy wyjdą z kościoła i plebanii—patryotyzm ich czynów (słowa są nim zawsze namaszczone) wietrzeje. Nie wszystkich—ale większości, która z byle drobiazgu wyszlifuje sobie różowe okulary, z byle pokrzyku ułoży sobie wesołą pieśń na temat „nie zginiemy,“ a nie widzi miliona odłogów i trzęsawisk, nie dostrzega paraliżu najważniejszych organów życia i nie wyczuwa jego słabych pulsów. Wymownym przykładem takiej nieoględności jest właśnie owa Babel, wznosząca się coraz bardziej na gruncie naszego języka. Już raz *Prawda* przedstawiła w obfitym zbiorze te nowotwory, które mowę naszą obrosły; powtarzać ich tu więc nie będziemy, ale powtarzamy naszą przestrogę, że ta swawola w żałobie, ta rozpusta języka, płacząca na złe losy, pozbawia nas prawa do skargi.

Jeszcze jeden cios.

Powstanie stańczykowstwa, niepomierny jego rozrost i dziś już prawdopodobny upadek, są obecnie najczęstszym przedmiotem krytycznych rostrząsań galicyjskich publicystów. Podcięte kilkoma silniejszemi uderzeniami drzewo błazeńskiej polityki chwieje się od tych razów, spadających jeden po drugim z nierówną siłą, ale wzrastającą szybkością, aż wreszcie kiedyś najmocniejszy powali je na ziemię. Poprzednio zaznajomiliśmy czytelników z *Teką Nieczui*, której autor zrąbał po staropolsku krakowską klikę; teraz przedstawić chcemy broszurę młodego bezimiennego autora: *O stańczykach*. Pomimo przechwałek *Czasu* i jego warszawskich filij, rozkład w partyi coraz bardziej staje się widocznym. Przy wyborach do sejmu straciła ona znaczną liczbę miejsc, wskutek oddzielenia się t. z. secesyonistów, którzy wraz z ateńczykami utworzyli środek; namiestnictwo obsadzone zostało wbrew ich woli, ostatnio zaś nawet przy pomniku Mickiewicza odnieśli porażkę. Podtrzymuje ich jeszcze życzliwość pewnych sfer dworskich, osobiste stosunki i płatne głosy popleczników, którym w czasie swej potęgi porozdawali wpływowe i zyskowne posady. Ale już dziś robią wrażenie woźniców, siedzących z powagą na koźle i machających batem podówczas, gdy konie z oderwanym dyszlem daleko uciekły; już dziś są raczej sztabem bez wojska, koteryą, niż stronnictwem. To też i charakter ataków zmienił się nieco. Nie są to namiętne napady, wywołane oburzeniem, ani ironiczne ukłucia szpilką, lecz krytyka surowa, nieubłagana, piętnująca ludzi i rzeczy właściwem mianem, nietająca swej wzgardy, ani swej siły, ostra, ale jak stal chłodna. Ręka zaś, która broń trzyma, nie drgnie, ani usunie się—bo to albo ręka wytrawnego rębacza, który płata od ucha do ucha, a nieraz dla krotochwili płazuje nawet po plecach przeciwników, albo ręce młodych i niewyćwiczonych, ale gorących szermierzy, którzy macają na oślep niekiedy serce wroga, lecz wprost w nie godzą. Zapewne, nie należy przeceniać znaczenia walki słowem; broń ta nie zabije żadnej partyi, która przedstawia jakąkolwiek, choćby przeżytą, chociażby nikczemną zasadę; w danym wypadku wszakże rzecz się ma nieco inaczej. Stańczykowstwo partyą nie jest, idei żadnej, bodaj maluczkiej nawet, nie reprezentuje, siła jego w sztabie, w tej garstce ludzi, imponujących społeczeństwu stanowiskiem, powagą i, zaprzeczyć nie można, wybitnemi nieraz zdolnościami. Sprowadzenie więc tych przywódców do właściwej miary, zaznaczenie ich cech znamiennych i wykazanie, że dodatnie strony ich programu nie są bynajmniej udziałem pewnej grupy, bez której istnieć i wejść w życie nie mogą, jest rzeczą zupełnie na czasie, jest niemałej wagi zadaniem, z którego bezimienny autor pod wielu względami wywiązał się szczęśliwie.

Niedojrzałość polityczna w społeczeństwie skłonna jest do oceniania partyj nie według głoszonych przez nie zasad, lecz według składających się z nich ludzi. Błędy pojedynczych przedstawicieli dyskredytują przekonania, a zasługi ich, chociażby na innem polu, opromieniają je aureolą szacunku. Bezzasadność tej metody, która np. pozytywizm czyni odpowiedzialnym za osobiste wykroczenia jego wyznawców, uderza w oczy; wiernie jednak trzymają się jej stańczycy i na obronę swej doktryny przytaczają zawsze talenty, zalety osobiste lub zasługi głównych członków stronnictwa. Taką tarczą, zasłaniającą od pocisków, ostatnim atutem decydującym grę, jest dla nich szczególniej Szujski. Złożyło się na to wiele przyczyn. Szujski był rzeczywiście typowym przedstawicielem partyi, a jeżeli nie wodzem jej, to teoretykiem. Hołd, oddany pamięci zmarłego przez przeciwników, uznanie zasług niewątpliwych, ale ze stańczykowstwem niemających nic wspólnego—przekroczyły jednak należne rozmiary. Było to, jak słusznie powiada bezimienny autor, logiczne *salto-mortale*, właściwość naszego charakteru. Nie można Szujskiemu odmówić szacunku, ale nie należy chwalić tego w umarłym, co się w żyjącym ganiło. Zasada *de mortuis nil nisi bene* niemoralna sama w sobie, bo uprawniająca zasadę kłamstwa i hipokryzyi, łatwo — podług autora rozprawki — stać się może niebezpieczną. "Umarli nie przestają jeszcze walczyć."

---

6)

POWIEŚĆ O JANKU

SZEWCKIM SYNIE

przez

J. S. Wierzbickiego

VI.

Żniwa się skończyły. Tańczono i skakano przed karczmami, panny młode płakały, ale to nie przeszkadzało im wychodzić za mąż. Z ambony co niedziela spadały nowe pary: w końcu spadł i nasz Andrzej z Jagną, ku niemałemu zadziwieniu niewtajemniczonych w jego sprawy sercowe znajomych. Nastąpił ślub. O ślubie tym gadano w Zacofanem długo i szeroko. Wojciech nie chciał grać *Veni creator* a na wyraźny rozkaz ks. Jacka zagrał coś podobnego do śpiewów żałobnych. Janek, ubrany w nową kurtkę, z czego niezmiernie był zadowolony, miał kieszeń pełną tłuczeńców i orzechów, aby zajeść smutek z nowej mamy. Bartek i Wojtek, korzystając z wesela, upili się po szewcku i cały czas w kościele jeden szturgał drugiego pod bok a obaj na różne tony piszczeli:

— Aj, bije się!

Wachowa jędza, również w dobrym humorze, okładała w kruchcie baby, które, mając na widoku obfitą jałmużnę, udawały, że się modlą i szeptały:

— „I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy... O żeby cię paralus! bestyo! naszym winowajcom...“

Tymczasem jedna z bab, dostawszy dobrze kijem, wrzasnęła tak głośno: „Amen!“, iż nawet ksiądz od ołtarza obejrzał się...

W czasie ślubu publiczność, uchodząca za oświeceńszą, bawiła się kosztem łysego wdowca. Kiedy ksiądz pytał Jagnę o wolną i nieprzymuszoną wolę, zaczęto podpowiadać: „nie, bo stary, łysy i bez zębów!“ Szewc trząsł się ze złości, Jagna płakała. Magda broniła nowożeńca. Bartek i Wojtek pobiegli za Wachową jędzą, która, będąc w dobrym humorze, a widząc po pijanemu, iż wszystkie przedmioty na ulicy koło niej tańczą oberka, postanowiła zastosować się do ogólnego wesołego tonu, zaczęła pląsać i śpiewać: „Oj, ja biedna bardzo wdowa, umarł mi mąż, zdechła krowa!“

Jeden szczególnie młody i urodziwy, co go nazywali Stachem, obracał w oberku Jagnę, aż się kurzyło. Adruch częstował gości z miasta i ze wsi a sam pił i, co dziwniejsza, po pijanemu zapomniał o tem, że się ożenił i, przygarnąwszy do piersi Janka, kazał mu gwałtem pić wódkę:

— Pij, sierotko — wołał. Ty bez matuli a ja bez swojej Małgosi żyć nie możemy, pij!

I zalewał się łzami, przysięgając, że, póki życia, drugiej żony nie pojmie. W końcu usnął na ławie. W drugiej izbie hulano. Chłopcy śpiewali, a najweselej skakała urodziwa Jagna. Kiedy skończyły się gody, Wachowa powędrowała do swojej chaty, zlajawszy Andrzeja za to, iż jej córce świat zawiązał.

Zaczęło się nowe życie w chacie. Jagna, ta dobra i skromna „jak lelija“ dziewucha, zmieniła się nie dopoznania. Odrazu tak zwymyślała Andrucha, iż stary aż się przeżegnał; a kiedy jej pogroził, to płakała, a kiedy chciał ją bić, to przymilała się doń tak, iż w starym serce skakało. Sam nie wiedział, co robić! Stroiła się w szlafroczki nieboszczki i siadała z założonemi rękami, mówiąc mężowi:

— Napracowałam się u matuli, teraz będę sobie panować.

Stary ani mógł, ani śmiał jej czego odmawiać. Spraszała dziewczęta i chłopców na tańce. Zwłaszcza często koło niej kręcił się ów Stach z sąsiedztwa, który odrazu nie przypadł do smaku szewcowi.

— Wykapana matula moja, taki gębaty, jak ona — mówiła Jagna do męża, perswadując i łagodząc jego gniewy.

Dlaczego Stach przypominał jej matulę, nie wiadomo, bo milczał, jak mruk. Magda, co skojarzyła to małżeństwo, postanowiła wodzić rej w domu Andrucha, ale Jagna prędko się z nią uwinęła, nagadawszy przed mężem, że buntuje przeciw niej dzieci, tak iż pewnego pięknego poranku ujrzano Magdę, niby upiór czerwoną, wylatującą jak bomba z domu szewckiego na ulicę. Wojtek i Bartek spuścili nosy na kwintę i bali się macochy, bo biła tęgo a kazała pracować.

Wychodząc z tego stanowiska, autor poddaje surowej analizie działalność Szujskiego i stronnictwa, którego on był duszą a po części ojcem. Obdarłszy stańczykowstwo z łupiny trzeźwych frazesów, ukazuje nam jego jądro wyschłe i pomarszczone, z którego bodaj kropli oleju wycisnąć się nie da. Na tle przełomu, jaki powstał po 1864 r. w pojęciach Szujskiego i współczesnej mu generacyi, rysuje nam genezę stronnictwa. Grunt, na którym wyrosło, był zdrowy: był to protest przeciw romantycznej wybujałości, patryotycznemu krzykactwu, podniesienie haseł pracy trzeźwej i spokojnej. Zasady te a również ostra i bezwzględna krytyka, chłoszcząca w *Tece Stańczyka* wady społeczne, przypomina analogiczne początki postępowego ruchu w Warszawie. Ale z tej gąsiennicy krakowskiej wykluł się inny motyl. Odprawa, jaka spotkała młodych reformatorów, rozdrażniła ich i skłoniła do oporu. „Dotrwać na stanowisku jest zaszczytem, ale jak cofnąć się, tak i przez negacyę iść tam, gdzie się nie myślało — równym błędem. Ten to błąd zaprowadził Szujskiego w obóz konserwatywny, który jeszcze w r. 1865 potępiał, i kazał mu grzechami tego obozu grzeszyć.“ Jakkolwiek kierunku, obranego przez stańczyków, nazwać nie można ściśle konserwatywnym, dopiero wszakże od zlania się ich z zachowawcami stronnictwo to zaczęło przybierać dzisiejszą formę.

Urodziło się ono z protestu przeciw rewolucyi. Autor zgadza się z niem co do zasady, ale nie co do sposobu. „Sposobem tym było oplwanie i wydrwienie rzeczy zgoła nie śmiesznej.“ Potępienie wszelkiego bezrządu w myślach i czynach logiczną drogą doprowadziło ich do służalstwa. Polityka partyi krakowskiej głosi bezwzględną uległość, podpisuje zgodę na istniejące warunki. Nie będziemy szczegółowo streszczać teoryi o anarchiczności i rządzie moralnym, rzeczy to znane i w pismach Szujskiego sformułowane względnie jasno. Jedynie panującą i do władania w społeczeństwie uprawnioną siłę stanowią, według niego, tylko ci, „którzy w tem społeczeństwie pracą, zacnością, charakterem, przechowaniem uczuć i tradycyj narodowych, wypełnianiem obowiązków obywatelskich i działaniem dla społecznego dobra w najtrudniejszych nawet warunkach, zasłużyli na jego cześć i stanowienie o jego losach.“ Jeżeli wbrew temu *moralnemu rządowi*, „z natury konserwatywnemu,“ występują żywioły, pozbawione powyższych przymiotów, zwłaszcza zaś jeżeli, „obchodząc i unikając światła naturalnych kierowników społeczeństwa,“ podejmują się zadań stanowiących o przyszłości, to chociażby działanie ich było spokojne i rozumne, „chociażby osłonięte najpiękniejszą ideą — jest anarchicznością.“ Dotychczas anarchią nazywano wyłamywanie się z karbów praw istniejących — stańczycy pojęcie to rozszerzają. Ich rząd moralny — to jakiś samozwańczy i nieprawny, „domagający się posłuchu wimię tego, że chce rządzić — jest to uczynienie niewolnikiem ducha, postanowienie zasady bierności, *jurandi in verba magistri*, serwilizmu — ogłupienie społeczeństwa.“

Nie będziemy dalej szli za bezimiennym autorem w jego drobiazgowej analizie, ale podniesiemy jedno ciekawe zestawienie. Stańczykowstwo rozwinąć się mogło tylko w atmosferze ucisku społecznego, jaki następuje zwykle po gwałtowniejszych wybuchach. Naturalny odpór w takich chwilach powstaje zwykle na rzecz rozwoju pierwiastku woli. Po 1830 roku na emigracyi podobny zwrot objawił się w towianizmie, który kazał wyrabiać wolę, naprężać ją, potęgować i jak piorun ciskać. Rząd moralny i wykształcenie przezeń poczucia silnego rządu w społeczeństwie, za pomocą proponowanych przez stańczyków środków — to również mistycyzm woli.

Ale mniejsza o teoretyczne zasady, które są raczej zasadami Szujskiego, niż programem partyi; przypatrzmy się raczej praktycznemu ich zastosowaniu. Według propedeutyki stańczyków, posłuszeństwo rządowi istniejącemu ma być środkiem wychowawczym, uczącym i wdrażającym naród do karności moralnej, do ulegania moralnemu rządowi.

Są więc oni partyą austryacką a program ich polityczny streszcza się w jedynem zdaniu „Przy tobie stoimy i stać chcemy.“

Jest to służalstwo, podniesione do zasady, rehabilitacya „iście szlachetnej delacyi, dobrze zrozumianej denuncyacyi“ którą głowy konsekwentniejsze doprowadziły do takiej formy, że nawet „rozum i zapał“ pragnęłyby „związać i do naczelnika powiatu odstawić“ (Jerzy Moszyński). Ale polityka austryacka, lojalna w Galicyi, na innym gruncie staje się spiskiem, buntem. Stańczycy zrazu wybrnąć nie mogli z tego przeciwieństwa. Potępiając kompromis, poruszony w 1877 przez niektóre pisma warszawskie, występują głównie przeciw niemu z racyi, że stawionym był przez partyę demokratyczną i postępową. Nie chodzi im tu o rzecz, ale o to, żeby kierunek sprawy nie dostał się w ręce ludzi niepowołanych. W zapale warszawski autor stańczykowskiego programu ofiaruje Rosyi pomoc „w zawikłaniach z pewnemi mocarstwami, których interesy z jej interesami się krzyżują.“ Widocznie mowa tu o Austryi—doprawdy ślicznie to świadczy o lojalności partyi! Oferty jednak idą jeszcze dalej. W liście do Gradowskiego i w broszurce p. t. *Głos do obywateli Królestwa Polskiego* bezimienni autorowie w imieniu całego społeczeństwa obowiązują się dostarczyć rządowi: „żywiołów konserwatywnych, tak mu koniecznie przy nowej organizacyi potrzebnych,“ oddać „znakomitą przysługę w wyjaśnieniu pojęć o władzy, które niegdyś określone były tak jasno“ itp. Bezczelne to narzucanie się znalazło w pismach rosyjskich należytą odprawę. *Nowoje Wremia* powiada: „Ci ludzie przeżyci, zapomniani, wyznający zasady przedpotopowe, ci ludzie ośmielają się myśleć i twierdzić, że mogą nas zasłonić przed jakiemiś niebezpieczeństwami. Za cóż nareszcie mają społeczeństwo rosyjskie, te żywy trupy, noszące się wiecznie ze swoim zaszarganym programem? Dziękujemy, panowie szlachta, opiekunów i mentorów nam niepotrzeba.“ Policzek zupełnie zasłużony i jeszcze z ręki p. Suworyna, doprawdy na większe upodlenie narazić się trudno!

Niepodobna szczegółowo powtarzać sprawozdań autora. Pranie stańczykowskich brudów stanowi prawie połowę broszury, zarzuty wszystkie poparte szczegółowemi cytatami z *Czasu* lub z pism koryfeuszów partyi. Przechodzimy do ogólnych uwag. „Powstając jako reakcya przeciw rewolu-

---

Ten sam los spotkał w końcu szewca, który musiał od rana do nocy ślepiać nad szydłem, a jeśli się na chwilę wyrwał do karczmy, to oberwał straszne na siebie gromy. I Janek dostał się pod ściślejszą kuratelę: nietylko nie śmiał czytać, ale nawet wyjść na pole. Z początku macocha tuliła go do piersi, szepcząc: „Jasieńku mój złociuchny!“ a ręką szczypiąc w odpowiednie miejsce, tak iż chłopiec zamiast być wdzięcznym, wrzeszczał: „Szczypie się, jędza!“, na co ona z miną niewiniątka mówiła: „brzydki bachor!“ Później mu baby sąsiadki oglądały poszkodowane miejsca, krzycząc na różne tony: „O rety, rety!... Spuchło mu, zmarnieje nam dziecko!“ Najgłośniej lamentowały Magda i Helena. A szewc dawał posłuch żonie i bił Janka niemiłosiernie. Uwzięła się ona na malca, bo nie chciał ustąpić z łóżka nieboszczki, tak iż musiano go gwałtem stamtąd wyciągnąć, przyczem dobrze pokąsał ręce macosze.

Razu jednego Jagna wybrała się w gościnę na kilka dni do rodzinnej wioski w nowym szlafroczku, chcąc się pochwalić, że była „galanto.“ Wszystkowiedząca Helena rozpowiadała po mieście, iż jakoby towarzyszył jej w tej wędrówce Stach i że się oboje w borze bawili w chowanego. Andruch, korzystając ze swobody, poszedł do karczmy. Chłopcy rozbiegli się do lasu na orzechy, Janek zaś, który już od miesiąca nie czytał i książki żadnej nie miał, wymknął się na zwiady. Nuż mu kto jaką książczynę daruje. Poranek był jesienny i pogodny. Chłopiec spojrzał na czyste słoneczko, które natchnęło go nową myślą. Przypomniał sobie księdza Jacka, co z kazalnicy wołał: „światła, wiedzy!“

— On—szeptało dziecko—pewnie da mi książkę!

Biały domek ks. proboszcza wznosił się koło kościoła, ocieniony akacyami. Astry i balsaminy w ogródku tworzyły prawdziwą malowankę. Bukiety georgin bawiły wzrok a z daleka zieleniały grzędy kapusty i innych jarzyn. Bo ks. Jacek był gospodarny i zasobny a pomagała mu w tem jego... siostra, panna Agata. O ile plebania uderzała ładem i zamożnością, o tyle dom boży był opuszczony. Zapewne zostawiono go w takim stanie dla zachowania mu szarej archeologicznej barwy, tak drogiej konserwatorom zabytków ojczystej architektury. Mury miejscami porysowały się, a okna były powybijane, tak iż czasem przez nie wiatr dął niemiłosiernie i figlował z włosami parafian. Wtedy sam pan burmistrz, który posiadał nieco włosów, niezmiernie obawiał się o swą głowę, o którą w innych wypadkach wcale się nie troszczył.

Zresztą parafianie mało dbali o świątynię, chociaż od rana do późnej nocy słychać było ich śpiewy nabożne—tak iż ojciec niebieski mógłby się tu śmiało skarżyć, jak w owej pieśni: „nos mi dręczą kadzidłami, w nocy trąbią kantyczkami!“

Janek właśnie wszedł do proboszcza, kiedy ten po mszy rannej spożywał smaczną kawę, przygotowaną przez pannę Agatę, która krzątała się dokoła, dzwoniąc sympatycznie kluczykami. Pokój jadalny był niewielki, ozdobiony na ścianach obrazami treści religijnej: niektóre z nich wyhaftowała pobożna ręka parafianek. Na jednym wisiał długi surdut księżowski, zakrywający całkiem dla ciekawych oczu oblicze św. Antoniego. Zegar stary tiktakał w kącie, ale do jednego z łańcuszków, zamiast wagi, przyczepiony był zardzewiały krucyfiks!

Ksiądz zapytał z widocznem niezadowoleniem:

— Czego chcesz, mój mały?

Janek wyszeptał: „Książki!“

— Tere fere! Cóż to? jam mam książki do rozdawania, smarkaczu! Skaranie boże z tym chłopcem! Od śmierci Małgorzaty włóczy się to tylko po ulicach — dodał do Agaty, słuchającej go w skupieniu ducha. Jeżeli chcesz uczyć się, to ruszaj do szkoły!

— Tato i matula biją — jęknęło dziecko.

— A biją, bo się hultaisz, czas ci już pracować, musisz mieć około ośmiu lat. Ile?

— Albo ja wiem!

— Sierotka—rzekła Agata i pogłaskała chłopca.

Janek, widząc, że ona ma trochę litości dla niego, zwrócił się do niej, prosząc błagalnym tonem:

— Pani księdzowo dobrodziejko, zlituj się...

Biedak słyszał, że Agatę często w mieście tak nazywano i przypuszczał, iż to jest należny jej tytuł.

Kobieta syknęła i odskoczyła, jakby ją coś w nogi ukłuło.

cyjno-romantycznej polityce, stańczykowstwo wolnem nie było od wpływu ucisku, a pchnięte postępowaniem przeciwników, złączyło się z konserwatywnym obozem i w tem czułem objęciu porodziło teoryę o anarchizmie z jednej, teoryę rządu moralnego z drugiej strony. Stańczycy pierwotni to są teoretycy obozu, który istniał zawsze, tylko bez organizacyi. Istnieli zawsze bowiem konserwatyści i istnieli serwiliści.“ Ma ono jednak dodatnie strony, które właśnie łudzą wielu i pociągają do tej lokajskiej kałuży. „Sympatyczną jest reakcya przeciw romantyzmowi, hasła pracy organicznej, sympatyczną dla młodzieży i idea silnego rządu, rozwinięta przez nową szkołę historyczną.“ Ale właśnie te dodatnie strony z doktryną partyi nic wspólnego nie mają i stały się również udziałem ludzi wręcz przeciwnych przekonań. Najmniej wszakże łączy się stańczykowstwo z nową szkołą historyczną. Naukowa metoda w historyi o polityce zupełnie zapomina, ale bezstronnie grupuje i oświeca fakty, nie naginając ich do powziętych z góry celów. Że kilku historyków należy do partyi, to wale nie racya, żeby ona przywłaszczała sobie ich zasługi. Ale bezimienny autor słusznie wątpi o bezstronności i naukowej powadze koryfeuszów stronnictwa krakowskiego. Namiętność ich polityczna nie daje nam żadnej pewności, że nawet rzeczy ubiegłe oceniali z zimną krwią, tem więcej, żeświatłem, zaczerpniętem niby to z dziejów, oświecali zawsze sprawy bieżące. O Szujskim powiada, że był historykiem w poezyi, poetą w polityce i politykiem w historyi, nie wierzy zresztą w szczególne powołanie historyków do polityki. Niechęć i wzgarda dla stańczykowskich zasad nie zaślepia go jednak, owszem oddaje on w wielu wypadkach słuszność zmarłemu a tylko porównywając piękne i rozumne jego słowa z programem działania partyi, znajduje w tym przeciwstawieniu pewien tragiczny komizm, dobrze nazwany „tromtadracyą trzeźwych wykrzykników.“

Broszura, jak wzmiankowaliśmy wyżej, opiera się na cytatach, które zajmują sporą część jej objętości. Dodaje to powagi argumentacyom autora. Bezwątpienia jest to utwór młodego pióra, głos publiczny przypisuje nawet jej autorstwo prezesowi czytelni akademickiej w Krakowie. W każdym razie świadczy ona, że młodzież krakowska otrząsa się powoli ze zgubnego wpływu swych urzędowych kierowników i że w szeregach jej trzeźwy, demokratyczny kierunek, wolny od złudzeń i szowinistycznych wybryków, ale zarówno od moralnej abdykacyi i od błazeńskiego służalstwa, maskującego swoją nikczemność powagą historycznych doktryn — znajduje coraz więcej gorących i przekonanych zwolenników. *P.*

DZIERŻAWNE CYROGRAFY.

W stosunkach zależności ekonomicznej najwydatniej się ujawnia bezwzględność ludzkiego egoizmu. Jestto zwykłym objawem, że strona, mająca przewagę, daje słabszej uczuć brzemię swej wyższości w sposób często nielitościwy i brutalny. Dzisiejszy prawno-społeczny porządek nie posiada jeszcze przeciw temu środków. To też rozbój ekonomiczny, dokonywany z paragrafami w ręku, nie jest bynajmniej rzadkością.

W stosunkach rolnych smutny u nas widok przedstawiają sprawy dzierżawne, a częste wypadki ruiny całych rodzin są wymowną ich ilustracyą. Wiemy o tem, że są wielkie, należące do magnatów posiadłości, w których znakomita większość dzierżawców traci resztkę uszczuplonego w różnych przejściach ojcowskiego mienia, albo marnuje grosz, krwawą pracą zdobyty. Nie wszyscy nasi możnowładcy i większi właściciele postępują z takiem żarłocznem samolubstwem, są jednak tacy, którzy, niby pająki, uważają dzierżawców za muchy lub owady, przeznaczone na to, aby ich soki żywotne wyssane zostały do szczętu, aby ich chudoba rozpłynęła w kolosalnym wnętrzu pańskiego mienia. Starzy, doświadczeni, którzy walczyli z klęskami losu nie są bynajmniej pożądani do tej operacyi; ale młodzi, którzy świeżo się ożenili, pobrali posagi albo otrzymali działy familijne, tacy najłatwiej wiklają się w sieć warunków kontraktu, zapewniającego posiadaczowi bezwzględną przewagę.

Wspominaliśmy już dawniej, jak w południowo-zachodnich guberniach stosunki dzierżawne w niektórych wielkich majątkach uciążliwe są dla uboższych ziemian bez własności, jak, zamiast ułatwiać położenie, niektórzy możnowładcy w samem postawieniu punktów ugody skupiają nader liczne możliwości materyalnej ruiny. Okrutny rygor opłacania 50 rubli kary za każdy dzień przetrzymania dzierżawy po terminie jej wypowiedzenia przez zarząd właściciela majątku (o czem donosiliśmy już dawniej) jest przecie tylko jednem okiem tej sieci, na dzierżawców udzierganej przez utytułowanego pełnomocnika milionowej hrabiny.

Obecnie mamy pod ręką szacowny dokument: mieści się w nim cały, z niezmierną pomysłowością ułożony mechanizm pułapek na dzierżawcę, których on prawie nie może uniknąć. Rzucając okiem na szereg tych warunków, widzimy przedewszystkiem, że nietylko zwykłe klęski losowe, ale i nadzwyczajne zwalone są na niego z całą bezwzględnością. Oto musi on np. opłacać z majątku do kasy hrabiny wszystkie ziemskie podatki, kontrybucye i inne daniny rządowe a to nietylko w obecnych rozmiarach, ale nawet te, które kiedyś na majątek spaść mogą. W ten sposób dzierżawca przy zmianach systematu podatkowego może być zmuszonym do płacenia za majątek sumy, której nie zdoła z góry przewidzieć, zwłaszcza jeżeli powiększenie ciężarów podatkowych obniży mu dochód.

Inny punkt kontraktu zastrzega, że zarząd dóbr ma prawo stawiać budynki własnym kosztem, ale w takim razie dzierżawca od całej sumy powinien corocznie składać 10% na umorzenie kapitału zakładowego. Gdy zaś zarządowi spodoba się zobowiązać dzierżawcę do wzniesienia nowego budynku, wówczas majątek daje tylko surowy materyał, a dzierżawca ponosi wszystkie inne wydatki.

Warunki te nadają posiadaczowi nieograniczone prawo stawiania budowli, których koszt całkowicie albo częściowo spadnie zawsze na cudzą kieszeń. Tym sposo-

---

— A wypędź tego błazna za drzwi—huknął ks. Jacek—i natrzyj mu uszu na odchodnem, dobra panno Agato!

Panna Agata nie dała się prosić długo i w jednej chwili chłopiec wyleciał z krzykiem za drzwi, trzymając się jedną ręką za obrażone miejsce a drugą za głowę.

Ale w głowie chłopca utkwiły słowa: „Jeżeli chcesz się uczyć, to ruszaj do szkoły!“ Wiedział on, gdzie się owa „szkła“ znajduje i widział często chłopców z książkami, wracających do domu; tylko zastanowiło go to, iż oni całą drogę bili się i krzyczeli. Czyżby?.. Ale po cóż mieli książki?

Poszedł więc do szkoły,

Świątynia mądrości Zacofanego wznosiła się w dalekim kącie miasta i przypominała trochę gołębnik swemi powybijanemi oknami, których w lecie nie zalepiano papierem. Obowiązki kapłańskie sprawował tu pan Protazy, mały człowiek, o fizyognomii, przypominającej zgniłą gruszkę i o jednem oku, złośliwie patrzącem przez ciemne okulary, służące do zamaskowania braku drugiego. Skąpstwo jego pozyskało sławę przysłowiową. Co dnia zrana kłócił się z przekupkami, chcąc wszystko nabyć za połowę ceny. Hałasem napełniał cały rynek i budził psy z sąsiedztwa. Zwróciło to nawet uwagę pana naczelnika cyrkułowego, tak iż wydawać musiał służbie policyjnej dzienne rozkazy w tym rodzaju: „Wszelkie nieczystości z rynku wymiatać, Protazego i wszelką inną włóczącą się bestyę wypędzić kijem!“ Ubierał się zaś nasz Protazy niemal biblijnie. Oto ukazywał się tylko w szlafroku, którego poły często wiatr, nieznający prostych zasad przyzwoitości, rozwiewał i wtedy przekupki żegnały się, jakby na widok czegoś szczególnego. Czasem jakiś dymisyonowany uczeń z jego szkoły zabiegał mu z tyłu, podnosił w sposób bardzo trywialny lekkie jego szaty i uciekał.. Wtedy nauczyciel gonił figlarza, za nim leciały psy, a podróżni wybiegali z zajezdnych domów, myśląc, że przyjechała do miasta „komedya!“ Ponieważ zaś Protazy dawał lekcye w wielu domach za grube pieniądze i, jak mówiły baby — „pokazywał języki,“ więc starał się mieć co najwięcej czasu. Każdego też nowego ucznia uważał za swego osobistego nieprzyjaciela i przyjęcie go otaczał takiemi formalnościami, iż rodzice malca, zmuszeni przechodzić przez różne katusze, dawali za wygranę „adukacyi!“ W szkole panował ten stan, który Darwin uważa za normalny, stan ciągłej walki. Uczniowie uważali za swą powinność płatać nauczycielowi różne figle. Rozumie się, że rezultaty nauki były znakomite i kiedy wizytator odwiedził szkołę w Zacofanem, był zbudowany mądremi odpowiedziami pocziwych dziatek.

— I... tego, i... owego—pytał Protazy—kto stworzył świat?

— I .. Jadam! —odpowiedziało niewinne dziecko, naśladując ruchy nauczyciela i biorąc się, jak on, za nos.

— Czego chcesz smyku? — krzyknął mistrz, nasrożony do Janka.

— Uczyć się.

— I... tego, i... owego... bodajbyś pękł z tą nauką! Skaranie boże! Niedługo człowiek nie będzie mógł odetchnąć! I... ta zaraza już się wciska do naszego miasteczka! I... czyj ty?

— Tatowy!

— I... ja wiem o tem, błaźnie! Któż twój tato?!

— Szewc Andruch!

— I... powiedz mu, niech prośbę poda.

— Jaką prośbę?

— I.., głupi jesteś, takie pisanie. I... powiedz mu, niech przyjdzie mi wziąść miarę na buty!

Janek struchlał. „Miarę na buty!“ Czyżby i tu miara była potrzebna?!

— Otóż nie powiem — odrzekł rezolutnie.

— I... ruszaj sobie na cztery wiatry, gałganie—krzyknął stary, wypychając chłopca za drzwi.

Janek już nic nie rozumiał. „Pędzą niby psa!“ —szepnął i zapłakał.

Z poza okna spojrzało tymczasem pół tuzina głów dziecięcych: były to głowy sześciu Protazowych plag, jak je sam nazywał, dziękując Bogu za liczne potomstwo.

Widziały one długo Janka, który szedł zwolna ulicą, zataczając się, niby pijany.

(D. n.)

bem bardzo łatwo podnieść wartość swego mienia i zamiast starych ruder wznosić kosztowne stodoły i obory. Bezwątpienia, interesem samego dzierżawcy jest przeprowadzenie pod tym względem koniecznych ulepszeń, jednakże warunki kontraktu nie chcą się rachować z jego potrzebami, dając moc zarządowi narzucania swych interesów.

Z wielu punktów umowy przegląda tak bezwzględna samowola, że najwyższem prawem jest fantazya samego plenipotenta. W sprawie wznoszenia budynków za fundusze asekuracyjne dzierżawca np. nie ma żadnego głosu, dalej obowiązanym jest na żądanie pełnomocnika dostarczyć nieograniczoną ilość robotników pieszych i podwód dla wykopywania młodych drzewek i sadzenia ich na miedzach, granicach lub głównych drogach, nie żądając za to żadnej zapłaty. Nie dosyć tego, że dzięki takim warunkom właściciel, ciągnąc korzyści z dzierżawy, po upłynięciu jej terminu, otrzyma majątek ozdobiony, kosztem wyłącznie samego dzierżawcy, ale nie daje nawet temu ostatniemu pewności, na jakich obszarach będzie mógł rozwijać uprawę. Jeden z punktów kontraktu bowiem wyraźnie mówi, że główny zarząd zostawia sobie prawo z wynajętej ziemi *potrzebną ilość w każdym czasie* odjąć na swój użytek, za potrąceniem z czynszu ceny oznaczonej podług kontraktu.

Niedorzeczne to i oburzające. Bo gdyby nawet zachodziła konieczna potrzeba takiej operacyi wynajmowanego obszaru, to i tak jeszcze należałoby określić, w jakiej mierze ma ona być dokonaną bez szkody dzierżawcy, gdyż inaczej plenipotent może nawet zabrać każdego czasu najlepszą i użyźnioną ziemię a zostawić same sapy i wydmy. Dzierżawca zresztą stosuje swój budżet i plan gospodarki do całej ilości wziętego gruntu, a nadto, robiąc nakłady, może podnieść wartość danej części tak, że zwrot opłaty dzierżawnej według kontraktu nie wynagrodzi mu krzywdy. Gdyby zarząd chciał zastosować z całą swobodą ten jeden tylko warunek, zniszczyłby w krótkim czasie najzamożniejszego dzierżawcę.

Chociaż pomysłowy pełnomocnik i autor normy kontraktowej nagromadził inne jeszcze kruczki dla zabezpieczenia uroszczeń właścicielki dóbr, jednakże tego wszystkiego było nie dosyć. W ostatnim roku po wypłacie czynszu w terminie (15 stycznia). dzierżawca oprócz tego obowiązany jest złożyć do kasy zarządu połowę tenuty, która pozostanie bez żadnego procentu jako kaucya do czasu zdania folwarku, w razie zaś niewypełnienia w zupełności jakiego warunku, zastaw przechodzi na własność dziedziczki tytułem kary.

Cały ten cyrograf podyktowała poprostu niesumienna chciwość, którejby niepotrzebował się wstydzić żaden lichwiarz. Żeby milionowa pani, nakładając na dzierżawcę obowiązek złożenia w ostatnim roku kaucyi, nie przyznała mu nawet prawnego procentu, na to, doprawdy, trzeba poprostu elementarnej niezgody z poczuciem sumienności.

Pominęliśmy kilka innych ciekawych punktów owego szematu umowy, która w zamian za tyle najróżnorodniejszych wymagań nie zapewnia nawet dostatecznie prawa, będącego główną treścią dzierżawy, to jest użytkowania z całości ziemi.

Oczywiście, gdyby zarząd majątku brał ściśle wszystkie te warunki, to poprostu zawarcie umowy byłoby ze strony dzierżawcy takiem samem szaleństwem, jak podpisanie cyrografu dyabłu za... trzy grosze.

Wprawdzie podobno plenipotent zaręczał, że nie będzie drapieżnym egzekutorem, tylko tak sobie najeżył trudności, dla trzymania w ryzie dzierżawców, ale przesadzając do ostatnich granic nieufność, sam żąda zaufania, a przytem niektóre paragrafy umowy aż nadto wyraźnie dowodzą, że interes dzierżawcy musi zginąć we wnętrzu magnackiego Molocha.

Bądź co bądź, ów dokument jest objawem szczególnego pojmowania stosunków prawno-ekonomicznych. Jestto prawdziwa parodya umowy, rozśmieszająca i zasmucająca karykatura. A zarysowała się ona właśnie tam, gdzie magnaci polscy powinniby z całą względnością traktować średniozamożnych ziemian, choćby z poczucia obywatelskiego obowiązku. Nawet najsurowiej spisywane warunki dzierżawy w większych majątkach gubernij Królestwa nie są tak drakońskie i bezwzględne, chociaż nadmiernie łaskawością nie grzeszą. Zdarza się, co prawda, często, że dzierżawcy giną z powodu własnej niezaradności, ponieważ nie mają odpowiedniego kapitału, albo chorują na panków. Niejeden z nich, dorobiwszy się skromnego fundusiku, zamiast służyć i pracować, woli zakosztować niezależnej doli posesora, pozować na szyk obywatelski. Na tej drodze torby żebracze niedaleko.

Są jednak i u nas wielkie majątki, w których ruina dzierżawcy, dzięki łupiestwu administracyi, staje się nieuchronnym fatalizmem, tak, że wyjątkowo tylko ten i ów może uniknąć złowrogiej ostateczności.

Takie ekonomiczne wsysanie drobnych fortun przez wielkie jest bezwątpienia zjawiskiem wstrętnem i pomnaża tylko rubrykę słusznych skarg, jakie wniesiono ostatniemi czasy przeciw własności ziemskiej. Nie trzeba zaprawdę być zapalonym teoretykiem, ale mieć tylko zwykłe ludzkie serce i jakie takie poczucie sprawiedliwości, ażeby nie oburzyć się taką gospodarką magnacką, w której rujnowanie zamienia się na — systemat.

Walka ras.

III.

Skończywszy uwagi historyczne, Gumplowicz sumuje niejako wszystkie rozrzucone po dziele swem poglądy. Zebranie to, zdaniem naszem, stanowi najpiękniejsze uwieńczenie wogóle cennej jego pracy.

Wszystko — powiada — co rozegrywało się wśród nizin Eufratu i Tygru, co na wyżynach Iranu, w dolinach żyznych pomiędzy Indem i Gangesem, w górzystej okolicy pomiędzy Amurem i Hoango, w Azyi mniejszej wreszcie—wszystko to musiało dziać się wszędzie, gdzie tylko gromady ludzkie żyć mogły i żyły, i rzeczywiście działo się nietylko w całej Europie, ale i na drugiej półkuli, ku północy nad rzeką Misisipi i Rio-Grande, ku południowi u źródeł Amazonki i w dolinach Kordylierów. Wszędzie ten sam napotykamy widok. Najprzód rojące się i koczujące plemiona ludzkie i szczepy rozmaitej powierzchowności, lecz zawsze z ludzi złożone, różnymi mówiące językami, zawsze w ciaśniejszym zakresie pomiędzy sobą porozumiewające się, niejednakowym hołdujące wyobrażeniom i poglądom, lecz we wszystkich tych wyobrażeniach i poglądach pod odmienną formą podobna kryje się treść. Gromady te, o ile są jednorodne, zawsze ściśle się trzymają z sobą, żywiąc dla obcych wzgardę. Stąd wciąż te same rodzą się walki, z tych samych prowadzone pobudek, ku tym samym zmierzające celom.

Następstwa walk tych także wiecznie jedne są i też same: podniesienie się pierwiastku etnologicznego silniejszego, a zatem jego przewaga, jego panowanie czyli *wpływ*, zawsze i wszędzie mający znaczenie kulturalne, cywilizacyjne, gdyż sprzęga żywioły różnoszczepowe, przeprowadza podział pracy, rozwija kulturę, tworzy rasy. Potem znów stale i nieodmiennie powtarza się zjawisko ofiary jednej cywilizacyi na korzyść drugiej, następuje upadek kultury dawniejszej pod ciosami coraz więcej potężniejącego „barbarzyństwa" i od początku znów, na wyższym tylko szczeblu etnologicznym ten sam rozpoczyna się proces, lecz biorą w nim udział jednostki pod względem społecznym i narodowym silniejsze.

Rezultat tego procesu, wedle jednych, jest „postępem," podług innych — „upadkiem i cofaniem się."

W gruncie rzeczy wszakże oba te zdania są mylne. Jeden i ten sam proces naturalny ciągnie się i odświeża wiecznie. Zmieniają się tylko formy, scenerya tylko jego w różnych częściach świata i czasach różnych odmienne przybiera kształty, ale istota pozostaje nietknięta. Ludzie zawsze są tymi samymi, bez różnicy, czy na prostych szybują łodziach, czy z pomocą pary prują fale oceanu, czy na obu półkulach przeczuwają się wzajem, czy też drogą telegrafów i telefonów na odległość mil tysięcy dążą do podejścia się wzajemnie; tymi samymi, czy zabijają się pałkami i jataganami, czy też strzelają do siebie z dział Krupa i odtylcówek, lub wysadzają się w powietrze siłą torped i dynamitu. Bo żywotne pierwiastki społeczne nie zmieniają się nigdy, a ich jakość i ilość wciąż pozostaje jednaką. Błędem też jest mniemać, jakoby w czasach dzisiejszych więcej zrobiono lub robi się wynalazków, aniżeli przed lat tysiącami. Tak nie jest, gdyż żaden mózg ludzki w rozwoju swoim pewnej, przez naturę mu zakreślonej granicy przekroczyć nie może. Do owego możliwego punktu kulminacyjnego zaś niewątpliwie po wsze czasy pojedyncze dochodziły głowy. Tak np. najbardziej wyrafinowany wynalazek nowoczesny, elektrotechnika, nie stoi ani o włos wyżej od pierwszej runy, pierwszego sposobu pisania na pomnikach. Jeśli telegraf umożliwia porozumiewanie się pomiędzy przeciwległymi krańcami ziemi, napisy na pomnikach (pismo runowe) przynoszą wiadomość o tem, co się działo przed tysiącami lat. Runy więc bezwarunkową mają wyższość; podczas bowiem, gdy one zwyciężają niezmierzone przestrzenie czasu, telegraf ograniczone jedynie i zawsze wymierzyć się dające łączy odległości.

Mówią, że duch ludzki, spotężniały tysiącolecia trwającem gromadzeniem wiedzy, dziś więcej, niż przed wiekami, dokazać jest w stanie. Ale któż zmierzyć zdoła owe skarby wiedzy i doświadczenia, jakie zabrały czasy jeszcze dawniejsze, skarby, które do nas nie doszły? Że istotnie wyniki badań zamierzchłej przeszłości musiały się zatracić bez śladu — o tem wnosić możemy stąd, iż najszczytniejsze prawdy i pojęcia filozoficzne dostały się nam od najdawniejszych myślicieli azyatyckiej i europejskiej starożytności; prawdy to i pojęcia, po nad które wznieść się nie potrafili nawet najwięksi filozofowie naszych czasów. Z tych ostatnich wszyscy, *mutatis mutandis*, powtarzają tylko to, co dawno już przed nimi powiedziano (?) w księgach Konfucyusza, Weddach lub naukach Buddy. Zwięzłe wyrzeczenie Eklezyasty: „wszystko jest marnością" — zawiera prawdę dotychczas nieprześcignioną przez najnowszą filozofię życia. Wyrzeczenie to bowiem jest kwintesencyą najbogatszego doświadczenia i dociekań najgłębszych, jest owocem geniuszu i poświęcenia dla prawdy i większą niewątpliwie posiada wartość, aniżeli wielotomowe systemy etyki. Co do postępu duchowego Arystoteles powiada: „Niema prawdy, którąby już kiedyś człowiekowi znaną nie była. To, co nam się zdaje, żeśmy poraz pierwszy odkryli lub wynaleźli, niewątpliwie dawniej

już było w użyciu śród ludzi i poszło tylko w zapomnienie.“

Ktoby chciał utrzymywać, że ten pesymizm Arystotelesowy odnosi się jedynie do najwyższych zagadnień ludzkości, że wśród mas postęp jest niezaprzeczony, stają się one bowiem lepsze, moralniejsze, rozumniejsze — ten niechaj uprzytomni sobie zastój i nieruchomość w rozmaitych dziedzinach życia duchowego, niechaj rzuci okiem na pojęcia i wyobrażenia tłumu narodów najbardziej nawet ucywilizowanych, a z łatwością przekona się, że na niższym szczeblu rozwoju pewnie nie stali ludzie w czasach przedhistorycznych. Dosyć spojrzeć na uporczywość, z jaką masy te lgną do przesądów zakorzenionych, na chorobliwość, z jaką, niezdolne wytworzyć sobie własnego o czemkolwiek zdania, konwulsyjnie trzymają się tego, co im wpojono w dzieciństwie i młodości i z wiarą przekazują potomkom swoim. Tu nowe, samodzielne prądy duchowe przystępu nie mają.

Oto przyczyna, dla której pojedyncze głowy, myślące po nad masami temi, przesuwają się bez śladu — oto wytłomaczenie zagadkowego zjawiska, dlaczego wielcy ludzie rozmaitych czasów zawsze *o tem samem* mówić muszą i zwalczać *też same błędy i uprzedzenia*— oto wreszcie powód, dla którego wśród ogólnego procesu naturalnego historyi niema postępu, ani cofania się.

Mówimy bez ustanku o ciągłym postępowym ruchu rodu ludzkiego, jako całości, z jednej strony dlatego, że niewłaściwie przenosimy wyniki obserwacyj, poczynionych nad jednostkami społecznemi, a w szczególności nad pojedynczemi państwami w fazie ich rozkwitu, na życie całego rodu ludzkiego; a z drugiej przez ograniczony i egoistyczny pogląd na świat, pogląd, któryby najodpowiedniej nazwać można etnocentryzmem. Kierując się nim, każdy naród sądzi, że stanął na najwyższym piedestale, nietylko wśród ludów mu współczesnych, ale i w stosunku do wszystkich, co przed nim żyły na ziemi. Wmawiając zaś w siebie, że on sam jest najwyższym i najdoskonalszym tworem, że wszystkie społeczeństwa i pokolenia przeszłości były tylko niezdarnemi próbami, aż w końcu udało się Stwórcy dokonać arcydzieła w postaci *danego* ludu i pokolenia, oczywiście przeszłość wszelką poczytywać będzie jedynie za przygotowanie do teraźniejszości, a wszystkie narody pozostałe za stopnie, wiodące do wyżyny, na której stanął ów lud, przez Opatrzność wybrany. Z tego też stanowiska oceniać należy pochwały, sypane naszemu wiekowi dziewiętnastemu, mającemu jakoby być „najbardziej oświeconym,“ stać „u szczytu cywilizacyi“ itd. itd. Trzeźwy pogląd naukowy każe to wszystko uważać za złudzenie, wykazując, że pomiędzy rozmaitymi „szczytami cywilizacyi“ różnica tylko zachodzi co do formy, ale bynajmniej nie co do stopnia — oraz, że lekceważenie, z jakiem europejczyk spogląda na cywilizacyę chińczyków, hindusów lub arabów, również jest nieusprawiedliwionem, jak wzgarda i lekceważenie, z jakiem narody owe patrzą na nas europejczyków i na wszystkie nasze „bezbożne i odrażające“ instytucye.

„Toż więc — kończy pracę swoją Gumplowicz — spytacie, mądrości twojej myśl najgłębsza, takiż więc pożytek socyologii całej? Na cóż się przyda nauka o wiecznej walce bez postępu ludzkości, która wpleciona w nieubłagane koło przymusowo naturalnego krążenia, pozbawioną jest wszelkich widoków ratunku i tylko jedną ma nadzieję — bezpowrotnego zaginięcia?“

Niewątpliwie, odpowiada autor, prawo naturalne historyi smutne ludom przynosi prawdy, nie mniej, jak naturalne prawo życia takież same prawdy przynosi jednostkom. Któż wszakże unikać będzie poznania praw życiowych dlatego, że one mu nie wróżą wiecznego życia i nie obiecują bezustannych rozkoszy? Wszak poznanie to w zamian za zniweczone iluzye tę przedstawia korzyść, iż nie pozwala gonić mar złudnych.

Zupełnie tak samo rzecz się ma z socyologią. Gorzkie istotnie są prawdy, jakich ona naucza ludy, ale wynagradza to im przez zapobieganie daleko gorszym rozczarowaniom i przez skierowanie ich dążeń ku celom, do osiągnięcia możliwym. Gdyby zaś socyologia, jako nauka, nie zdziałała nic więcej, pożytek z niej już byłby nieobliczonym. Czyż nie widzimy codziennie, jak całe szczepy, społeczeństwa i narody marnują siły owe najżywotniejsze nad rozwiązaniem zadań, z mocy wszechpotężnego prawa naturalnego nierozwiązalnych wogóle lub niedających się rozwiązać tak, jak tego chcą owe ludy? A choć walki rasowe nie ustaną nigdy, bo „wieczny pokój“ nie z tego jest świata, zaprzeczyć niepodobna, że mnóstwo ich mogłaby ludom zaoszczędzić światła rozwaga przodowników i kierowników, że narody wolne byłyby od wielu nędz i w granicach naturalnych praw historyi kosztowałyby sporo szczęścia, którego dziś są pozbawione dlatego, że kłaniają się fałszywym bogom, gonią za celami niedoścignionymi i za śladem błędnych ogników schodzą na manowce.

Oto jest w najogólniejszych zarysach treść najnowszej pracy Gumplowicza, na której wyniki można się w wielu punktach nie zgadzać, której autorowi jednak przyznać należy niepospolity zasób wiedzy, umysł badawczy i samodzielny a rzadki dar uogólniania zjawisk. To, co on mówi przeciw faktom umysłowego postępu, nie wytrzymuje krytyki i łatwo da się obalić powszechnie znajomymi faktami; że jednak cywilizacya mniejsze odniosła zwycięstwo, niż je codziennie okrzykuje — wątpliwości nie ulega.

Ad. J. Cohn.

GŁOS FRANCUSKI
o wyprawie wiedeńskiej.

III.

W ostatnim rozdziale swej pracy p. M. Vachon robi uwagę, że oswobodzenie Wiednia stanowi jak gdyby wyjątek z pomiędzy wszystkich ważnych zajść historycznych pod tym względem, iż na polu walki do ostatniej chwili nie postawiono żadnego pomnika. Bez kwestyi, przyczyna tego tkwi w szlachetności Leopolda i jego następców, którzy nie mogli pozwolić, aby przypominano wdzięczności narodowej w ich własnej stolicy fakt sławny, spełniony bez udziału cesarza, a może nawet pomimo jego woli. Tem niemniej jednak fakt ten zrodził znakomite dzieło sztuki, które do dziś pozostało, można powiedzieć, zupełnie nieznanem.

„Trzy lata temu — mówi p. Vachon — po wielu ciekawych zajściach, udało się nam odkryć we Francyi wszystkie kawałki olbrzymiego pomnika, wykonanego na cześć Jana Sobieskiego i na pamiątkę bitwy pod Wiedniem przez nieznanego francuskiego artystę, Piotra Vaneau. Pomnik ten zawiera: cztery statuy prawie na dwa metry wysokie, wyobrażające alegorycznie narody, nad którymi Sobieski odniósł najsławniejsze zwycięstwa: ...tatarów, węgrów i turków; statuę Sobieskiego, osiem płaskorzeźb alegorycznych i historycznych. Dwie z nich mają za treść sceny dziejowe, zostające w bezpośrednim związku z oswobodzeniem Wiednia. Na pierwszej przedstawiona jest walka 12 września.

„Bitwa w pełnym ogniu, straszne zamieszanie wre dokoła; walczące strony nacierają na się wściekle; w środku Jan Sobieski wznosi zamaszyście szablę nad głową jednego z otomańskich wodzów, a ten próbuje odbić śmiertelny cios przeciwnika. Bohaterowi polskiemu towarzyszy syn jego, książe Jakób, który cały dzień walczył przy boku ojca, adjutant (*lieutenant*) i chorąży (*un enseigne*) z kitą, przywiązaną do końca kopii, aby mógł być rozpoznanym. Z drugiej strony zmykają na spienionych rumakach: Kara Mustafa, Emerik Tekeli, wódz wojsk węgierskich, sprzymierzonych z turkami, straszny chan tatarów, Selim-Gieray, hospodarowie Mołdawii, Wołoszy itd. itd. W głębi kotłuje się prawdziwe mrowisko żołnierzy obu armij. Ziemia zasłana trupami, bronią, zabitymi końmi, ściętemi głowami.“

Całe przedstawienie bitwy jest ściśle historyczne, w dziele Vaneau znajdujemy ubiór i uzbrojenie króla Jana jak również i królewicza Jakóba zupełnie takie, jak w opisie Kochowskiego.

Druga płaskorzeźba przedstawia wejście Sobieskiego do Wiednia. Z prawej strony spostrzegać się dają mury i wieże oswobodzonego miasta. Sobieski w koronie na głowie kroczy na czele wojsk, mając u swego boku syna, hetmanów, oficerów. Żołnierze niosą na pikach głowy tureckie. Na pierwszym planie rozesłane trupy i ciała zabitych koni, nieszczęśliwi ranni umierają pod nogami żołnierzy i końskiemi kopytami.

Trzecia płaskorzeźba zawiera medalion ks. Lotaryńskiego, na innych wyobrażone są odpowiednie znaki. Pomnik ten ma co najmniej 7 m. wysokości i formę wydłużonego prostokąta.

Vachon specyalne dzieło poświęcił opisowi tego zabytku sztuki, a architekt Corroyer doskonale odtworzył pierwotny pomysł.

Wydaje się to nieco dziwnem, że wykonanie pomnika tej doniosłości, na cześć króla polskiego, ku uwiecznieniu wypadku odsuniętego od Francyi, powierzonem zostało artyście francuskiemu, nieznanemu zupełnie po za granicami swojej prowincyi, le Valay.

Otóż rzecz się wyjaśnia w ten sposób. Piotr Vaneau był protegowanym i przyjacielem biskupa z Puy, Armanda de Béthune, i ten w kilka lat po objęciu valayskiej dyecezyi sprowadził go do siebie z Montpellier. Brat zaś biskupa, Franciszek de Béthune, hrabia de Selles, ambasador francuski w Polsce, był szwagrem, jak wiadomo, Jana Sobieskiego. Królowa Marya Kazimiera słyszała niewątpliwie od męża swej siostry o wielkim talencie rzeźbiarza, z którym ambasador musiał się poznać w domu brata. Kiedy więc pomyślano o postawieniu pomnika na pamiątkę wyprawy wiedeńskiej, udano się do Vaneau za pośrednictwem Franciszka de Béthune. Gdzie był wzniesiony ten pomnik? Autor nie wie i wszelkie poszukiwania do odpowiedzi żadnej go nie doprowadziły. Przypuszcza więc, że które z nieprzyjacielskich wojsk zburzyło go w czasach późniejszych. Być może, że jeszcze przed rozbiorami spotkał go los obrazu Dolabelli w Wiazdowie (? Ujazdowie), zniszczonego przez Augusta Saskiego na żądanie sprzymierzeńca. Polskie źródła nic o tem przedmiocie nie wzmiankują.

W zamku Montrésor, w zbiorze sztuk, założonym przez Ksawerego Branickiego, znajduje się wyrób złotniczy, mający niezmierną wartość artystyczną: jest to waza srebrna, ofiarowana Sobieskiemu przez miasto Wiedeń na dowód wdzięczności. Waza ta odznacza się dosyć dziwną strukturą i bardzo zbytkownemi ozdobami. Czasza (dolna część) otoczona jest szeroką ażurową obwódką i podtrzymywana przez cztery kolumienki, okolone spiralnemi girlandami; wszystko to spoczywa na czworobocznym piedestale z orłami zamiast nóżek.

Na szczycie kolumny, na postumentach, wznoszą się cztery figury wojowników w różnych pozach. Pokrywa, zdobna we wklęsłe rzeźby, zawierające wojenne przybory i dwa medaliony: Sobieskiego i Leopolda, dźwiga posążek polskiego bohatera w zbroi, w płaszczu królewskim, z ręką wspartą na szabli. Na wypukłej stronie czaszy, podzielonej kolumnami na cztery części, cztery płaskorzeźby wyobrażają: *Posiedzenie sejmu polskiego dla uchwalenia pomocy Austryi zagrożonej przez turków; Przybycie króla polskiego do armii cesarskiej; Bitwę pod Wiedniem; Spotkanie się cesarza Leopolda i Jana Sobieskiego nazajutrz po rozbiciu oblężenia.*

Na szerokiej opasce, która w formie girlandy zwiesza się z wierzchołka każdej kolumny, mieści się napis łaciński, wyjaśniający treść płaskorzeźby.

W zbiorze nieboszczyka barona Davilliers znajduje się bardzo ciekawa płyta z włoskiego fajansu, nosząca dosyć niewytworny rysunek oblężenia Wiednia: w środku miasto, otoczone wysokimi szańcami; na prawo namioty tureckie i szmigownice, na lewo cesarscy i polacy.

Istnieje wiele sztychów mniej więcej współczesnych oblężeniu Wiednia. Predewszystkiem na wzmiankę zasługuje: jedenaście rycin Romain de Hooghe'a, z których jeden zawiera widok bitwy 12 września i atak na miasto; widoki Lean de Angnissola (*Viénna a Turcis obsessa et a christianis deliberata*), rysunki Sussingera, odbite w wielkiem dziele, wydanem 1688 roku w Dreznie pod tytułem: *Oswobodzenie cesarskiego miasta Wiednia w Austryi.*

Na wystawie historycznej, urządzonej przez municypalność wiedeńską z powodu dwóchsetnej rocznicy, mają się znajdować, według zapewnienia p. Vachon, reprodukcye dzieła Vaneau i waza ze zbiorów Branickiego.

K. T.

TEORYA I TECHNIKA POWIEŚCI.

Na naszej bujnie obrosłej niwie powieściopisarskiej nie brak wybitnych talentów. Realistyczny kierunek, poczęty przez Jeża, wydaje coraz dojrzalsze owoce, którymi się możemy pochlubić — mówię bez szowinizmu — nawet za granicą. Jednego tylko nie dostaje naszym powieściopisarzom dawnej i nowej generacyi: teoretycznego uświadomienia sobie swej sztuki. Przyczyna tego zjawiska tkwi głęboko w charakterze narodu, który nie wzniósł się nigdy na wyżyny filozoficznego poznania. Widzimy to także w kompozycyi i technice naszej beletrystystyki. Dzisiejsza estetyka uczy czegoś więcej, niż reguł i przepisów, które na nic się nie przydadzą twórczej fantazyi; ona odkrywa, przy pomocy psychologii, tajemnice, drzemiące snem nieświadomości na dnie duszy poety, zapoznaje go z narzędziami techniki artystycznej, wskazuje granice jakoteż znamienne właściwości rodzajów i gatunków jego sztuki. Z tego względu należałoby baczniej śledzić estetyczno-filozoficzne i psychologiczne badania za granicą — zwłaszcza najnowsze studya nad powieścią. Z bogatej literatury do tego przedmiotu zasługuje na uwagę dzieło znakomitego powieściopisarza niemieckiego Spielhagena *). Autor podaje w swoje książce przeważnie własne spostrzeżenia, czerpane z wiecznie świeżego źródła twórczej wyobraźni. Stanowisko jego jest realistyczne, chociaż sam się do tego nie przyznaje. Na dowód może posłużyć jego geneza fantazyi epicznej.

Jak artysta, zdaniem Spielhagena, tak i powieściopisarz potrzebuje modelu do swego dzieła. Rzeźbiarz bierze ślepego żebraka z ulicy i robi zeń Belizaryusza. Powieściopisarz, któremu nie wystarcza to zewnętrzne podobieństwo, idzie dalej i jego model jest nietylko ciałem z ciała bohatera, ale także jego *duchowem* dzieckiem. Poeta, przekroczywszy pierwsze stadyum uniesień osobistych i przekonawszy się po smutnych zawodach, że tu nie chodzi o to, „aby świat jego pojmował, ale żeby on świat pojął“ — zatapia zrazu swój obserwacyjny zmysł z całą namiętnością w naturę istoty zupełnie odeń *odmiennej* pod względem temperamentu, charakteru, zwyczajów i sposobu życia.

Na podstawie własnych doświadczeń i na drodze badania otaczających go osób zbiera powieściopisarz materyał, z którego modeluje osoby swej powieści. Równocześnie z pomysłem, zrodzonym w okamgnieniu, wypłynął nieświadomie z duszy jego pierwszy zarys. W drugiem stadyum tej genezy rośnie i pogłębia się plan powieści razem z bohaterem. W tym procesie następują zmiany a nawet przekształcenia osób. Model chętnie czy niechętnie musi się zastosować do obrazu bohatera, ten zaś do swego modelu. Różnicę między modelem a bohaterem widać szczególnie w ostatnich konsekwencyach, które rzadko wysuwa rzeczywistość. W tym okresie rozwoju przypatruje się autor bliżej kolejom bohatera. Tymczasem cisną się tłumnie do jego głowy różne postacie, które on musi utrzymać na wodzy i każdej wyznaczyć właściwe miejsce. Postacie te nie tracą wcale swojej indywidualności w usługach bohatera, owszem, objawiają swoją samoistność uporczywie, wprowadzając w kłopot twórcę. Na jego zawołanie przybyły posłuszne, ale raz stanąwszy, mówią, co chcą zrobić, a czego nie chcą. Następują spory, potem kłótnie i bójki upartych figur z powieściopisarzem, któremu w tej wrzawie głowa pęka. Plan utworu, w grubszych konturach wyraźnie zarysowany, zmienia się teraz w szczegółach i rozrasta. Jest to drugie stadyum twórczości. Powieściopisarz sporządza sobie „listę osób,“ mniej więcej wszystkich, które mają występować na scenie. Każda z nich dostaje paszport, gdzie są zapisane, oprócz imienia i tytułu, także — wiek, płeć, nawet kolor oczu i włosów. Ta ostatnia policyjna kontrola osób jest potrzebną nawet Spielhagenowi, który, jak wiadomo, nie robi z niej bezpośredniego użytku w powieści, „przekonawszy się z doświadczenia, że nie można wmówić w czytelnika, iż bohaterka jest brunetką, gdy się uwziął widzieć ją blondynką.“ „Później — powiada dalej autor *Młota i kowadła* — kiedy mi te wszystkie postacie staną się bliższe, niż ludzie, z którymi lata całe przeżyłem, uśmiecham się tylko na tę pedanteryę, z jaką zaglądałem im w oczy na początku naszej znajomości.“ W tej tajemniczej kopalni ducha ludzkiego zdarza się czasem, że powieściopisarzowi wygaśnie światło doświadczenia a on, w ciemności siedząc, przemyśliwa nad sposobami pomocy. Wówczas to pokazuje figury, których nie zdołał plastycznie wykuć, tylko z jednej strony, każe im niejako grać na jednej strunie i dodaje zazwyczaj jakieś zewnętrzne znamię: chrypliwy głos, rozczochraną czuprynę itp. sztuczki, obliczone na łatwowierność czytelników.

Wstępujemy w trzecie stadyum psychicznego procesu — nie potrzebuję dodawać, że w rzeczywistości niema tak ostrego odgraniczenia. Autor powinienby teraz wypracować staranniej z cyrklem i linią w ręku cały plan arkotektoniczny, aby stanął wykończony rysunek gmachu z fasadą i wieżami, z całą ornamentyką, wymalowaną do najdrobniejszych szczegółów. Potem nastąpiłoby czwarte i ostatnie stadyum: rzeczywista budowa, murowana kamieniem i cegłami. Ale tak nie jest — jak sobie wyobraża teoretyczny estetyk. Powieściopisarz, nie wykończywszy dokładnie planu, wkracza od razu do czwartego stadyum. Oto doświadczenie Spielhagena: „Układam sobie — powiada on — treść pierwszego tomu kilkutomowej powieści ze wszystkimi szczegółami i przystępuję swobodnie do wykonania, bo wiem z pewnością, że zanim ten kawał drogi przejdę, zobaczę już wyraźnie plan drugiego tomu, szczegółowo zarysowany itd. aż do końca.“

Gdy powieściopisarz zarysuje sobie, nawet bardzo dokładnie, z góry plan całej powieści, nie może go łatwo i gładko wykonać i przy całej świadomości swej drogi natrafia co krok na różne niespodzianki.

W pomyśle jak w wykonaniu dzieła podkreśla silnie Spielhagen obserwacyę i doświadczenie. Szczęśliwym nazywa powieściopisarza, który wiele widział i doznał w życiu a skarb ten trwale umie zachować, aby go w potrzebie na zawołanie użyć. Do epicznego uzdolnienia zalicza bystry, jasny i spokojny wzrok spostrzegawczy, dar kombinacyjny, wiążący silną i pewną ręką rzeczy bliskie i dalekie, głęboką, namiętną miłość do natury, prawdziwą radość z życia i nienasyconą chęć poznania pierwiastków czynności ludzkiej w jej popędach i skłonnościach. Wykonanie podlega tym samym prawom, co każda umysłowa praca. Warunkiem tu jest pilność, dla której nic nie jest za wielkie, ale też nic za małe, pilność, która ciągle poprawia i piłuje, której odwrotna strona figur fryzu zakryta oku ludzkiemu tak jest ważną, jak przód dla każdego widoczny, pilność wytrwała, systematyczna, energiczna — niczem nieustraszona.

Zadaniem powieści jest, według Spielhagena, przedstawienie ludzi w związku z naturą i w zależności od warunków oświaty. Bezwzględna przedmiotowość i spokój opowiadania stanowi znamienną właściwość tego rodzaju. Przypomnijmy sobie tylko, jakie reguły dajemy dziecku, zaczynającemu opowiadać pewne zdarzenie: „Tylko pomału, jedno po drugiem, porządkiem!“ A nawet w dojrzałym wieku, jeżeli chcemy coś dobrze opowiedzieć, staramy się mówić powoli i zająć na początku albo w ciągu historyi stanowisko, z którego moglibyśmy objąć z łatwością całość opowiadania, cofamy się wstecz, wypełniamy luki powieści i dalej ją prowadzimy, niżeśmy zamierzali, aby ją dobrze zakończyć. Temu prawu ulega także powieściopisarz, mający przestrzegać zawsze i wszędzie zasadę objektywności; czy to, jeżeli się stara uchwycić obraz w zwierciedle minionych czasów, czy też zdejmuje odlew swojej epoki, zawsze winien tworzyć pełnych, całych ludzi, odbijających silnie na tle ich kraju i czasu, winien ich w ruch wprawić i nie wymagać od nich, *czego oni nie mogą, albo czego on przez nich nie może*. Hic Rhodus, hic salta! Tu na nic się nie przydadzą refleksye autora, ani jego uczony kram, nie pomoże mglisty idealizm, klejący szablony i symbole zamiast ludzi i rzeczy, ani romantyczna tajemniczość, co nie zna dnia ani nocy, tutaj nic nie znaczy kiszony humor, podający satyryczną mieszaninę za zdrowy pokarm epiczny — bo tu państwo wszechwładzy prawdy i przedmiotowości.

Idealny kierunek w powieści, który wydał takie cudowne owoce, minął niepowrotnie. Widzimy dziś inaczej, nie piękniej, ale dalej, mikroskopiczniej. Jaki Tersites brzydki, ale czyż można było powiedzieć o nim, że był np. zakatarzony? Dziś nawet to musimy czasem powiedzieć, pokazując bohatera w szlafroku. Świat się zmienił, a widnokrąg nasz się rozszerzył. To, co dawniej wydawało się punktem, jest dziś całym światem — nietylko w naturze, ale także w komórkach mózgu i serca. Słowa rozwiązano ze wstęg, które da-

*) *Beiträge zur Theorie und Technik der Romans.* Lipsk 1883.

wniej całowały wieńce kwiatów a dzisiaj wcinają się powrozami w ciało naszego życia. O niewinności epicznej nie możemy już marzyć, skorośmy skorzystali z drzewa wiedzy. Pojęcie tego, *jak dawniej bywało*, stało się wyraźniejszem; dziś mierzymy dokładnie słoje wieków na pniu czasu.

Z rozszerzeniem horyzontu mnożą się środki sztuki, ale też i trudności. Weźmy np. romans historyczny. Już dzisiaj nie można narzucać obcej roli marmurowym postaciom bohaterów przeszłości — niedaremnie pokończyliśmy szkoły i zwiedzili muzea. Z zadrukowanych papierów trudno wskrzeszać żywych ludzi. Jak to łatwo zagrząść w piasku suchej erudycyi, albo szukać drogi we mgle wieków, gdzie fale czasu zamuliły ostatnie ścieżyny życia ludzkiego. Postacie z teraźniejszości, zostające w płynnym stanie rozwoju, dają się łatwiej odlać w formy powieści, pomimo stronniczości współczesnych; ale jakżeż tu łatwo wpaść w tendencyjność i zamiast odzwierciedlić ducha czasu — narzucić mu swój indywidualny! Jeżeli historyczny powieściopisarz zbyt oddalony od swych postaci, to nowoczesny jest zbyt zbliżony do nich tak, że ich często nie może zupełnie obejrzeć.

Pierwsze przeczucie bohatera rodzi się, jak wspomniano, z pomysłem całej powieści. Powstanie jej bez postaci głównego bohatera jest dla estetyki tem, czem dla przyrodnika t. z. *generatio aequivoca*. Bohater, zrodzony w pomroku mglistego poranku, czy w jasności błyskawicznego światła powstający powoli i niewyraźnie, czy też nagle i wypukle, bywa nieraz tylko bohaterem dziedzicznym *de jure*, t. j. może odstąpić swoje pierworodztwo drugiej osobie (jak np. w *Panu Tadeuszu* Tadeusz Jackowi). Ażeby się stał bohaterem *de facto*, musi objąć na siebie wszystkie jego funkcye i obowiązki. Jest on niejako oknem, przez które powieściopisarz-poeta widzi świat, oglądając pod tym kątem kawał życia ludzkiego; jest miarą, używaną w mapach do zdejmowania rzeczywistej odległości; jest on wreszcie—i to jest jego najtwardszy obowiązek — *granicą* epicznej siły wszerz i wzdłuż się rozprzestrzeniającej oraz rękojmią, broniącą organizm powieści od obcych tej sztuce narośli.

Inne postacie powieści, cisnące się przed osobą bohatera, muszą być usunięte, ale niemniej jak on napełnione krwią epicznego życia, którą jest akcya. Ani kropli zepsutej krwi refleksyi nie może płynąć w żyłach tego cudownego organizmu.

„Omawialiśmy — powiada — z powieściopisarzem (Auerbachem) ten tak ważny dla nas temat. Nakoniec powiedział mi przyjaciel: Masz pan zupełną słuszność. Jest tylko jeden sposób przedstawienia: wszystko dla osób i przez nie. Autor sam przez się nie powinien mieć żadnej bezpośredniej styczności z czytelnikiem, nie powinien mu mieć nic do powiedzenia — żadnego słowa. Sądzę, że najlepszym początkiem powieści byłby taki mniej więcej: Było dwóch chłopców, jeden nazywał się Paweł, drugi Piotr; Paweł był dobry, Piotr był zły... Przepraszam pana—przerwałem przyjacielowi—to wszystko można już opuścić. O istnieniu chłopców przekonamy się, skoro pan ich w czynności pokażesz. Wtedy znajdziesz sposobność nazwać ich po imieniu, np. tak ładnie urządzić, żeby jeden drugiego nazwał. A co się tyczy zła i dobroci — to zostaw pan spokojnie ten sąd czytelnikowi, aby się o tem z ich czynów przekonał."

Tej podstawowej zasady nie można dostatecznie zalecić naszym powieściopisarzom, którzy mają ciągle coś do szeptania w ucho publiczności po za plecami swoich osób. Jak źli dyrektorowie teatralni nie zostawiają ani na chwilę samych aktorów i właściwie nie schodzą nigdy ze sceny.

Przed samem wystąpieniem musi tej fałdę poprawić, tamtej kokardę przypiąć, wreszcie od siebie, prywatnie, zwrócić uwagę aktorce na toczony gors i zrobić tym podobne dyskretne i niedyskretne uwagi. Nasi powieściopisarze zapominają, że osoby powieści występują w różnych pozycyach i scenach, oraz w różnorodnych stosunkach do innych osób, tem samem rozwijają wszechstronnie swoje wewnętrzne i zewnętrzne zalety albo błędy. Niepotrzebnie opowiadają np. szczegóły z młodości: „Pani X. nawet w dzieciństwie nie sprzeczała się z rówienniczkami swemi..." Jak gdyby rozumnemu człowiekowi mogło przyjść kiedy do głowy, że krowa w dzieciństwie była hyeną.

W rozbiorze *humorystycznej powieści* wykazuje Spielhagen, o ile mi wiadomo, pierwszy, że humor nie jest sam przez się pierwiastkiem poetycznym i nie tworzy poetycznych kreacyj tak samo, jak religia i inne stany duszy. Najgłębszą jest analiza t. z. *Ich-Roman*, t. j. takiej powieści, gdzie bohater opisuje własne koleje życia. Delikatnie przeprowadzone, do najdrobniejszych szczegółów, są różnice między *nowelą a powieścią* i między *powieścią a dramatem*. Ale o tem innym razem obszerniej pomówimy.

H. B.

CZESKIE PRZEKŁADY

POLSKICH UTWORÓW.

Dążność do zbliżenia się polsko-czeskiego w dziedzinie literatury nie jest czczą deklamacyą u naszych braci nad Wełtawą, którym niedość skwapliwie się wypłacamy udziałem w ich umysłowym ruchu. Cały zastęp pisarzy czeskich czerpie obfitą dłonią klejnoty ze skarbca poezyi i beletrystyki naszej, aby je swoim ziomkom podać w oprawie rodzimego języka. Do cenniejszych zjawisk tej literatury przekładowej, będącej zadatkiem duchowego przymierza, należy obecnie tłomaczenie *Maryi* Malczewskiego, dokonane przez Jana Nečasa a wydane z ilustracyami Scheiwla przez księgarnię J. L. Kobra w Pradze. Nie mówiąc o bardzo wytwornej szacie typograficznej, sam przekład daje prawo p. Nečasowi do szczerego uznania. Bardzo szczęśliwie udało się czeskiemu tłomaczowi pokonać współcześnie dwie naczelne trudności: potrafił on być niemal dosłownie wiernym oryginałowi, uniknął dowolnej parafrazy i podchwycił całą niemal poetyczną krasę oryginału, wyśpiewał z ogromnem poczuciem głęboką, palącą boleść i rzewną tęsknotę, która zyskuje tak serdeczny oddźwięk w łonie społeczeństwa, niemającego zbyt wiele powodów do radości.

Prawda, że niemałą pomocą tłomaczowi było pobratymstwo języków; to też nie siląc się na niepotrzebną oryginalność tam, gdzie mógł, nie odstępował od tekstu i rymował zupełnie podług brzmienia polskiego poematu. Zaledwie jednak dziesiąta lub mniejsza część tekstu pozwalała p. Nečasowi na taką ułatwioną kopię, a resztę musiał zupełnie na swój sposób przerobić i unikać nieodpowiednich mowie czeskiej zwrotów. Pod tym względem trzeba przyznać tłomaczowi dziwną łatwość w doborze końcówek i potoczystym zupełnie układzie frazesów, niezdradzających bynajmniej mozołu, co w przekładach poetycznych jest bardzo trudnem. Idąc w ślad za wątkiem poematu i jego przekładu, zaznaczyć musimy bardzo piękne oddanie wstępu, w którym tłomacz wiernie podchwycił szerokość obrazowania ukraińskiego stepu. Scena Miecznika z Maryą nie ustępuje oryginalowi, ani głębokością rzewnej melancholii, ani też treściwą energią w rysunku postaci starego wojaka. Najsłabszym ustępem przekładu jest scena miłosna Maryi z Wacławem, w której zamiast głębokiego poetycznego marzenia i szerokiej sprzeczności słowa, dźwięczy trochę pieszczotliwy szczebiot, nielicujący z tragizmem sytuacyi. Nie chcemy przesądzać, o ile tłomaczowi przeszkadzała tu natura samego języka; to jednak pewna, że w tem miejscu znacznie zbladł poetyczny koloryt oryginału, chociaż następujący zaraz wylew żalu Maryi, po odjeździe kochanka, wyrażony tonem głębokim. Trudności formy lirycznej w dwu pieśniach karnawałowych pokonał p. Nečas z wprawą istotnego wirtuoza, scenę bojową oddał z wielką energią i odpowiednią poetycznością. Jednem słowem przeniósł do czeskiej poezyi całą girlandę kwiatów, zawartych w tej powieści, która w naszej poezyi jest pierwszą pieśnią głębokiej miłości, pierwszym dźwiękiem uczucia, obudzonym przez tęsknotę ukraińskiej dumki i melancholię Byrona.

Szkoda tylko, że ilustrator p. Scheiwl w swych małych obrazkach, zamiast skopiować lub zredukować choćby np. rysunki Andriollego, popisał się z krzyczącą nieznajomością polskich typów i strojów, dał szereg banalnych postaci, a wojewodom i rycerzom polskim włożył na szyję szerokie kryzy, które komicznie wyglądają przy czamarkowych szamerowaniach kontuszów, o jakich przodkowie nasi z zeszłego stulecia nie mieli chyba wyobrażenia.

Cały szereg polskich utworów w bardzo tanich, popularnych wydaniach pomieszcza nakładem tejże księgarni p. Kobra biblioteka popularna p. t. *Ustrzední knihowna* pod redakcyą p. Franciszka Zokieja. Wydawca, sprzedając każdy zeszyt tej biblioteczki za 10 krajcarów, przyczyniła się do niezmiernie szerokiego spopularyzowania utworów, czerpanych ze wszystkich literatur świata, między któremi nasza pod względem ilościowym zajmuje miejsce wcale nie ostatnie. W nowszych zeszytach tej seryi znajdujemy nowelę Bałuckiego, przełożoną przez Józefa Konerza *Dzieci Justysi* (*Děti Jutynčiny*), będącą perełką w jego zbiorze „obrazków krakowskich," dalej wiejski obrazek pani Morzkowskiej *Smutne swaty* (*Smutna swatba*) w tłomaczeniu Edwarda Jelinka, oraz drobne powiastki (*Powídky*) Zygmunta Krasińskiego w tłomaczeniu p. Celestina Frica, należące do młodzieńczych płodów naszego poety. Z utworów dramatycznych przyswojono dwuaktową komedyę Asnyka *Przyjaciele Hioba* (*Jobowi přátelé*) w tłom. Polabskiego oraz jednoaktówkę p. Zalewskiego *Spudłowali* (*Ostrouchali*), którą przyswoił czeskiej literaturze p. F. L. Howorko, a któremu należy się zasługa za wprowadzenie na scenę czeską wielu celniejszych płodów naszej dramaturgii. W katalogu biblioteczki, zawierającej dotąd około 100 zeszytów, znajdujemy także Mickiewicza *Ballady* i Syrokomli *Ułas*. Przekłady te, wogóle wykonane z prawdziwym poszanowaniem oryginałów, celują piękną i potoczystą formą słowa. Wprawdzie mogła redakcya biblioteczki uczynić w kilku razach wybór nieco szczęśliwszy, mogła dać w tych kilku zeszytach nietylko rzeczy dobre, ale *tylko* świetne, jednakże trzeba wziąść pod uwagę ściśle popularny charakter takich książeczek, rozchodzących się w sferach najuboższej czeskiej inteligencyi oraz trudność wykreślenia ścisłego programu w wydawnictwie, będącem antologią tak różnorodnych utworów. W każdym razie nasi tłomacze i wydawcy powinni się o to postarać, aby tak samo celniejsze utwory czeskich pisarzy zostały literackim chlebem powszednim dla naszej inteligencyi.

S. K.

LIBERUM VETO.

Ocalone wilki. — Hymn wdzięczności. — Warto było bronić? — Dar dla papieża. — Pobudki. — O co dba papiestwo. — Skręcenie z prostej drogi. — Umizgi przedkwartałowe do szlachty. — List zrażonego abonenta. — Przyszła ilustracya w *Kuryerze Świątecznym*. — Nowy *stiller Bankerot*. — Objaśnienie. — Kto płaci. — Zakaz noszenia korali i rewizor Gogola. — Nasze trufle. — Łosoś i studentka.

Jak czytelnikom naszym wiadomo, *Prawda*, podziwiając zdolności wojskowe Sobieskiego, nie jest czcicielką jego ofiary politycznej, złożonej na ołtarzu austryackim. Król polski zbyt się uniósł szlachetnością, wyciągnąwszy z ognia kasztany dla swego sąsiada, który dla niego okazał się niewdzięcznikiem a dla jego potomków wrogiem. Dziś, po 200 latach, grzmiące wycia ocalonych wilków potwierdzają nasz sąd i przekonywają, że dziki, fanatyczny turek w r. 1683 mniej groził Europie, niż oświecony i w norze ze strachu ukryty niemiec. Świeżo wyszła broszura p. t. *Der Entsatz von Wien*. Że w niej każdy niemiec ugina się pod ciężarem skradzionej sławy — to mniejsza, ale że Sobieski nazwany jest po prostu „szarlatanem“ — to szczególnie zapamiętać warto! Znana wszechtecznica, *N. Fr. Presse*, wierna zasadzie, że „gdy koło historyi się toczy, zawsze z pod niego tryska błoto,“ rozpuściła swój język jeszcze energiczniej. Według niej, bohater odsieczy był tylko „przebiegłym spekulantem, który, ujmując się za cudzym interesem, pomagał swemu“ i z góry kazał sobie zapłacić 1,200,000 guldenów, oszukawszy następnie cesarza. Raczej żarłok, niż wódz — „po rozpoczęciu bitwy zasiadł do śniadania.“ A wojsko polskie? „Piechota np. była różnorodną, na traf spędzoną bandą złodziejów (*Diebs bande*), bez mieczów i muszkietów, uzbrojona tylko w topory, kosy, drągi i kije.“

Oto jest dziękczynny hymn niemiecki, odśpiewany choralnie na cześć obrońcy Wiednia. Odarto Sobieskiego nietylko z zasługi, ale i z czci. Wartoż było przodków takiej zgrai bronić? A niechby im był głowy pokosił miecz turecki a karki pognoiły kopyta końskie, niechby dotąd w Wiedniu świecił półksiężyc a w haremach więdły niemki, które oszczerców rodzą.

Pisma codzienne już przedemną doniosły, że Matejko ofiarował swój obraz *Jan III pod Wiedniem* papieżowi. Chociaż fanatycznie religijny nastrój wielkiego mistrza usprawiedliwiał poniekąd tę darowiznę, niecierpliwie jednak oczekiwano wyjaśnienia jej pobudek. Matejko rozwiązał zagadkę—ogólnikiem, że u stóp tronu papieskiego obraz najlepiej przypominać będzie itd. Jest to — jak wiele innych przekonań genialnego artysty—pobożne złudzenie, rozpięte na krosnach wielkiej polityki. Nie zapisuję tu żadnego *veto*, bo, jak wiadomo, własność daje posiadaczowi prawo swobodnego jej użycia i nadużycia, a więc Matejko mógł swoje dzieło darować nawet Cetewayowi. Nie należy go jednak pozostawiać w błędzie co do politycznego znaczenia ofiary, które jest żadnem. Mimo całej swej niezaprzeczonej siły, papiestwo na polityczne losy narodów katolickich wpływu nie ma a nawet go mieć nie chce. Chce ono i umie zasłonić księży, to jest swoją bezpośrednią służbę od chwilowej (zawsze tylko chwilowej) niełaski rządów, ma niezliczone sposoby ratowania niezależności kościoła, ale po za tem polem działania patrzy obojętnie na dolę swych owieczek. Ze wszystkich zaś żywiołów ludności polskiej duchowieństwo używa największych przywilejów, papież zatem nie ma kogo protegować i bronić. Czego zaś spodziewa się odeń Matejko — nie pojmuję. Wydania listu pasterskiego lub przyjęcia świętopietrza? Od takich względów nikogo głowa nie zaboli i niczyja się nie wyleczy. Otrzeźwienie zaś w tym wypadku jest bardzo potrzebnem z tego względu, że artysta darował swój obraz *krajowi* z warunkiem, ażeby kraj znowu zrobił prezent papieżowi. Jeżeli zboczenie z prostej drogi miało na celu wciągnąć cały ogół polski do podążenia z czołobitnością, to Matejko nie rozczarował się ze swej wiary w ogólne współczucie jego myśli dlatego jedynie, że *kraj* jest to, niestety, wyraz, którym najmniejsza u nas grupa ludzi ochrzcić się może.

Powiedziałem to wszystko szczerze, bo nadchodzący kwartał nie nakłada na mnie obowiązku dworowania pobożnej szlachcie naszej, którą — jak zauważyła *Gazeta Rolnicza* — obcałowywują niektóre pisma nasze z powodu uroczystości... odnawiania prenumeraty. Jakże w tej porze ci nasi ziemianie są dla owych pism poczciwi, zacni, biedni i uciemiężeni! Bobry dziennikarskie płaczą nad nimi tak zawzięcie, jak gdyby już w niebie porządkowano i przygotowywano najwygodniejsze przestrzenie na przyjęcie męczenników... własności większej. Jedna z gazet oburzyła się nawet na „płatnych i niepłatnych nowiniarzów,“ którzy rozgłaszają wieści o nieurodzaju buraków. Doprawdy miała ona zupełną racyę. Przed kilku miesiącami odebraliśmy list następujący: „Zamiast pieniędzy na prenumeratę posyłam panu wyjaśnienie, czemu *Prawdy* dalej trzymać nie będę. Wszystko to, coście pisali przez kwiecień i maj na „własność większą,“ przebaczam; zatarły się już urazy w pamięci i w sercu. Ale tego wam darować nie mogę, że przed samem odnowieniem przedpłaty, kiedy grzeczność względem wszystkich abonentów winna być spotęgowaną, kiedy ja właśnie miałem posłać służącego na pocztę z pieniędzmi, wy ćwiertujecie jednego z obywateli kaliskich. To nie uchodzi między porządnymi ludźmi. Ja nawet względem Berka, gdy potrzebuję pożyczki, jestem uprzejmy. Bierzcie przykład z pisma X! Wprawdzie wydrukowało ono raz bajkę, że ja założyłem ochronę dla dzieci wiejskich, podczas gdy zbudowałem zwykły czworak dla parobków (którzy istotnie dzieci mają), czem mnie bez potrzeby wobec sąsiadów skompromitowało, ale proszę słuchać, co mówi o naszem posłannictwie przy końcu kwartału! Rozumu ono tam wielkiego nie ma, ale grzeczności, grzeczności...w bród!“ Ilejest serc i umysłów, któreby wobec podobnych wynurzeń zdobyły się na odwagę głosić o... nieurodzaju buraków lub opowiadać żywot obywatela kaliskiego!

Ale z drugiej strony, jeśli ziemianie nasi zechcą dogodzić wszystkim zalotom, to niedługo *Kuryer Świąteczny*, który kiedyś wyrysował szlachcica z rojem żydów w brodzie i włosach, będzie musiał go przedstawić dręczonego przez wydawców pism broniących "własności większej.“ Bo tak one biednego obywatela oblazły, że aż krzyczy od zbytku miłości i prosi nieba, żeby zesłało mały pomorek na jego dziennikarskich przyjaciół.

Przy takim rozroście prasy, sprzedającej „tradycyę“ — ciężki to zarobek dworowania szlachcie, daleko cięższy, niż bankructwo dla zagranicy, które w minionym tygodniu ozdobiło znowu karty kroniki, bogatej u nas w tego rodzaju wypadki. Starzy czytelnicy *Prawdy* znają z osobnej sylwetki *stiller Bankerota*, młodszym muszę go ponownie zarekomendować. Jest to kupiec bez kapitału, ale z odwagą. Zaopatrzony w niezmiernie tanie u nas „referencye,“ uzyskuje kredyt i towary u przemysłowców zagranicznych, którzy, przypuszczając z góry, że będą zarwani, podnoszą odpowiednio cenę wyrobów i otrzymują całą ich wartość w pobieranych zaliczkach. Na przykład: łokieć materyi, który, przy bezpiecznym stosunku, oddaliby kupcom pewnym po rs. 1, oddają domniemanym bankrutom za rs. 2, wziąwszy zaliczki rs. 1, czyli połowę. Jeżeli oszust, sprzedający towary zawiesi wypłaty, firma zagraniczna jest pokryta w całości lub w znacznej części, a kto stracił? Ci, którzy w sklepie nabywali materyę po rs. 2, zamiast po 1 — tj. publiczność. Oto proste rozwiązanie zagadki, która tyloma już wypadkami zbezcześciła nasz handel. Jeżeli zaś was zdumiewa przebiegłość wynalazku, to pamiętajcie, że najbogatszą w pomysły jest wyobraźnia oszusta. *Gazeta Warszawska* donosi, że złodzieje, rozpuściwszy w Kijowie wieść o ukazie, zabraniającym noszenia korali, zdzierali je z szyi przechodniom. Czy na tak genialną myśl wpadłby zwykły, mizerny człowiek? Łatwowierność, naturalne odbicie tej wiary, że wszystko jest możliwem, jeszcze bardziej rozpina skrzydła tej genialności i pozwala jej szybować swobodnie. Rewizor Gogola, tak wiernie z życia zdjęty, na innym gruncie wydałby się niedorzeczną karykaturą, podczas gdy w swoich warunkach ma całkowite uzasadnienie. Niech złodziej kijowski spróbuje rozgłosić zakaz noszenia korali w Berlinie lub Paryżu! Podobnie i *stiller Bankerot!* To, trufel naszej gleby, dziecię naszych stosunkbw i przy naszej tylko piersi wykarmić się może.

Bardziej rodzimy, niż... studentka. Jedna z łaskawych czytelniczek, spisawszy w liście rachunek sumienia *Prawdy*, upomina ją także za tolerancyę dla studentek i pragnie wiedzieć, jakie według nas, „powinno być ich zachowanie się.“ Otóż... szanowna pani. Łosoś dla złożenia ikry wychodzi z morza i płynie rzeką z wielkim zapałem... pod wodę. Tak robi dziś na całym świecie studentka. Jeśli chce zapłodnić swój umysł, musi opuścić morze konwenansów i płynąć pod wodę. To jest obecną jej naturą, wytworzoną przez warunki życia. Jakim zaś wogóle „być powinno jej zachowanie się?“ Regułę już dawno wynaleziono dla ludzi pracujących i uczciwych. Osobnej wyszukiwać nie trzeba.

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Skamieniałości kieleckie. — Okazy najdawniejsze i nowo tworzące się formy.—*Legalny* antisemityzm Wilna i „praca organiczna“ w szynkowniach. — Romantycy i realiści w handlu. — Towarzystwo Kredytowe Ziemskie w opałach. — Złote runo wiszące zbyt wysoko. — Korespondencya z Podlasia.

Inżenierowie departamentu górnictwa, badający obecnie geologiczne pokłady gub. kieleckiej, powrócą podobno do Petersburga z obfitym plonem zebranych skamieniałości. Poszukiwaniem owych badaczów, jak donosi *Echo*, wielce zainteresowani są okoliczni włościanie. Znoszą oni im rozmaite kamienie w nadziei, że „ometrzy“ znajdą u nas — jeżeli nie złoto, to przynajmniej rudę żelazną.

Zbiory więc petersburskie zwiększą się zapewne; nasze jednak bogactwa paleontologiczne nie będą przez to wyczerpane. Pozostanie nam jeszcze masa skamieniałych, przedpotopowych *pojęć*, których żadnemu „ometrze“ wydrzeć nie pozwolimy — nawet za złoto. Do najstarszych okazów — coś w rodzaju *palaeotherium* naszych mózgów, należą „złudzenia żydożercze.“ Redakcya *Echa* otrzymała jeden taki egzemplarz od swego wileńskiego korespondenta, który ucieszył się mocno *legalnym* antisemityzmem swych braci. Chętka leczenia organicznych wad społeczeństwa za pomocą rządców domu i rewirowych jest niezmiernie starożytną formacyą naszej dewońsko-

sylurycznej psychologii; ale *legalny antisemityzm* posiada wszystkie cechy nowo-powstającego organizmu.

Trzeba mu się przypatrzeć,

„Antisemityzm poczyna się u nas objawiać w formie legalnej. W ostatnich dniach zeszłego miesiąca szynkarze, traktyernicy i inni tego rodzaju przemysłowcy chrześcianie, w liczbie dwudziestu siedmiu, zrobili podanie do władzy, w którym uskarżają się, że żydzi, pomimo wyraźnego prawa, zabraniającego im otwierania szynków, a nawet zarządzania takowymi w domach chrześciańskich, pootwierali szynki na imię chrześcian, nietylko nieposiadających jakichkolwiek funduszów dla prowadzenia handlu, ale na imię takich, którzy w rzeczywistości nie istnieją, sami zaś szynkują otwarcie, nie obawiając się żadnej odpowiedzialności... Sprzedają oni liche produkty tanio, czem zwabiają masy wyrobników przyjmując od nich, w braku gotowych pieniędzy, fanty różnego rodzaju, między którymi częstokroć bywają rzeczy kradzione... Z pewnością przypuścić można, iż, gdyby nie było szynków żydowskich, moralność by na tem zyskała."

Tak jest. Gdyby w głowach naszych nie było młynka, to logika ludzka w ogóle, a nasza w szczególności niceby na tem nie straciła.

Przypuśćmy że „prawu" uda się wyrzucić hałastrę żydowską z szynków. Cóż wtedy zrobią wyrzuceni?

Czy chodzi nam o to, aby z przechowywaczów stali się złodziejami? Innych następstw przewidywać nie można. My w naszych stosunkach handlowych przebywamy dopiero dobę romantyzmu: łudzimy się więc możnością pogodzenia lodu z ogniem i światła z ciemnością. Żydzi handlarze są już w swoim „rzemiośle" zupełnymi realistami. Dla nich „być uczciwym w handlu" znaczy, „wyrzec się prawa do życia." Gdyby wszyscy drobni przekupnie byli uczciwymi, część ich musiałaby umrzeć z głodu; otóż wyznawcy Mojżesza, szynkujący w Wilnie, nie mogą zdobyć się pierwsi na bohaterstwo. Od chrześciańskich bankierów zagranicznych, urządzających systematyczne *krachy* na giełdzie, różnią się tem tylko, że nie kradną milionów. Jeżeli rozpływamy się z rozczulenia nad zasadą wolnej konkurencyi, to powinniśmy przyjąć z wdzięcznością i najsłodsze jej owoce, t. j. wzajemne pożeranie się. Odsuwając żydów od handlu i nie zmieniając podstaw jego dzisiejszych, w najlepszym razie zmienimy tylko wyznanie wyzyskiwaczy, ale od wyzysku się nie uwolnimy.

Biedne Towarzystwo Kredytowe ziemskie również nie może uwolnić się od wyzysku ze strony... prasy. Nie dość, że wymaga ona od pp. radców, aby choć pod sekretem powiedzieli coś publiczności o swoich naradach, ale nadto podsuwa ciągle „ludziom z towarzystwa" jakieś kosztowne projekty. Czasem zresztą chodzi tylko o przezwyciężenie klasycznego lenistwa. Takiego właśnie heroizmu wymaga od radców niedyskretna *Gazeta Polska*, namawiając ich do założenia na własną rękę towarzystwa ubezpieczeń od gradobicia — i wyjednania u władz ustawy, obowiązującej wszystkich rolników do opłacania składek asekuracyjnych. „Grad bowiem—powiada słusznie korespondent *Gazety* — ma swoje uprzywilejowane drogi, t. z. szlaki gradowe; gdyby więc pozostawić ubezpieczenie do woli rolnikom, to wyjątkowo chyba ubezpieczyć by się chcieli tacy, którzy posiadłości swe mają po za granicami szlaków gradowych i wszyscy opłacaćby musieli wysokie składki, jak to się i dziś dzieje w jedynem operującem u nas moskiewskiem Towarzystwie wzajemnych ubezpieczeń od gradobicia. Gdy zaś ciężar wypadków losowych rozłożony zostanie na kraj cały, to składki mogą być zredukowane do tak małych wymiarów, że uczuć się nawet nie dadzą, jak to ma dziś miejsce ze składką od bydła."

Podczas gdy nielitościwe gazety domagają się od radców żywszego udziału w naszym ruchu ekonomicznym, pieniądze stowarzyszonych odbywają zastraszające wędrówki, z których, nie wiadomo, czy wrócą cało i zdrowo. Przewieziony przed niedawnym czasem do Petersburga fundusz „użyteczności publicznej," który obecnie do czterech już urósł milionów, spoczywa dotychczas w banku państwa. Stowarzyszeni oblizują się tylko i wzdychają smutnie, patrząc na złote runo, zawieszone tak wysoko. Jakoś niezbyt dawno rozeszła się była pogłoska, że pieniądze owe użyte będą na wytworzenie taniego kredytu dla drobnych posiadaczy ziemskich. *Kraj* petersburski, wierząc w szczerość sympatyi stowarzyszonych względem „małej własności" i widząc wiele prawdopodobieństwa w owej pogłosce, doradza Towarzystwu zgodzić się na powyższy projekt, gdyby istniał, i popierać go. Najlepszą w tym razie jest argumentacya *Kraju*, z której widać, że zgadzać się trzeba jak najprędzej, gdyż później zezwolenie stowarzyszonych może być... łyżką po obiedzie.

Cobyście zrobili, czytelnicy, na moim miejscu, gdyby wam przysłano list, oskarżający mieszkańców pewnego powiatowego miasteczka na Podlasiu o zupełny brak chęci do czytania? List wprawdzie z podpisem, ale wierzyć się nie chce, aby treść jego od początku do końca była prawdziwą. Dlatego też imienia sławetnego grodu tutaj nie wymienię, a cały akt oskarżenia przytoczę prawie dosłownie, biorąc na siebie odpowiedzialność tylko za jego przepisanie.

— Czy wiesz, że w N. otwiera się czytelnia?

— Gdzie?

— Tu, u nas — w naszym sławetnym grodzie?

— Jeżeli tak, to ten, co ją zakłada, albo za dużo ma pieniędzy, albo też nie zna naszego miasteczka.

Takie zdanie, powiada mój korespondent, zdarzyło mi się słyszeć kilkakrotnie, a że jest ono uzasadnionem, przyzna każdy, kto miał przyjemność poznać bliżej naszą inteligencyę. Czy tak zwana śmietanka towarzystwa w przeciągu całego roku przeczyta u nas coś poważniejszego niż *Pamiętniki szatana*, za to ręczyć w żadnym razie nie można, ale i takich pamiętników nie wiele przejdzie przez jej ręce, gdyż, o ile wiem, czuje ona odrazę do wszelkiej lektury. Oprócz dwóch domów, które i duchowo i topograficznie oddalone są od środka miasta, w żadnym innym nie masz nic nad kilka książek; a jeżeli jakie stare rupiecie pozostały na *strychu* po jakimś dziadku lub wuju, to zabytki owe zwiększone bywają takiemi tylko działami, jak: *Co to będzie w dolinie Józefata?* (wyd. w Warszawie 1883 r.) Zacznij mówić w towarzystwie o czemś innem, niż o plotkach, a wszyscy wytrzeszczą na ciebie wielkie oczy." Tyle jest słów mego korespondenta. Co będzie w dolinie Józefata—nie wiem; ale obawiam się również pomyśleć, co to będzie w dolinie Podlasia, którego grody i dwory grzęzną w ciemnocie.

Maryan Bohusz.

Sprostowanie. W poprzednim numerze na tem miejscu pomieściliśmy z zastrzeżeniem odpowiedzialności przygodnego korespondenta wzmiankę o lekarzu M. w miasteczku Z., który miał jakoby przyczynić się do upadku apteki i wyprzeć innych swoich kolegów. Tymczasem osoba w tym wypadku najkompetentniejsza, mianowicie sam właściciel upadłej apteki objaśnia nas, że doniesienie owo jest fałszywem, gdyż on z lekarzem pozostawał w najlepszych stosunkach a przedsiębiorstwo swoje sprzedał z zarobkiem. Takąż samą nieprawdą grzeszy drugie obwinienie co do wypłaszanych z Z. lekarzów. Wobec tego sprostowania nasuwa się kwestya: czy korespondent świadomie, czy też nieświadomie wniósł do naszego pisma fałszywą skargę? Nie mając możności rozstrzygnięcia tej zagadki, zwracamy uwagę wszystkich zagniewanych, że pismo nasze żadnej osobistej zemście nie służy, oraz prosimy wszystkich dostarczających nas materyałem z życia prowincyi, ażeby nas nie narażali na rozgłaszanie wątpliwych wieści i tylko za dostarczanie sprawozdań krytycznych i sprawiedliwych pewni byli naszej wdzięczności. *Red.*

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 19 września.

Rozruchy w Banacie i obietnice węgierskie. — Podróż Gladstona do Kopenhagi.—Przywrócenie konstytucyi bulgarskiej.—Otwarcie sejmu galicyjskiego.

Zdaje się, że antysemicka wrzawa przycichła — przynajmniej na czas jakiś. Sporadycznie tylko, tu i owdzie, zdarzają się zaburzenia o charakterze mniej groźnym, albo demonstracye (jak np. studentów peszteńskich) z łatwością rozpędzane przez policyę. W Kroacyi również bunt słabnie, ale natomiast wybuchł w Banacie i niektórych miejscowościach Pogranicza, gdzie przyszło do krwawych utarczek z wojskiem. Bezstronne dzienniki węgierskie widzą przyczynę zamieszek w opłakanem położeniu materyalnem włościan, ale to proste i rozumne objaśnienie faktu nie trafia do przekonania sfer rządzących. Półurzędowa *Correspondance hongroise* przypisuje wywołanie ruchu namowom obcych agentów, jakoby w celu utrudnienia dyzlokacyi wojsk i odciągnięcia ich od północnej granicy a w dalszym ciągu swych wywodów obiecuje kroatom zadośćuczynienie, w zamian czego żąda tylko szczerego poparcia w przyszłej wojnie z Rosyą. Bo w takim razie — powiada organ rządu peszteńskiego — za utraconą Kroacyę, Węgry znajdą sobie inne wynagrodzenie. Nietaktowny ten występ wywołał surową odpowiedź ze strony *Journal de St. Petersbourg*, organu rosyjskiego ministeryum spraw zewnętrznych.

Tymczasem zjazdy monarchów i ministrów i tworzenie przymierzy, jeżeli nie w rzeczywistości, to w wyobraźni sprawozdawców dziennikarskich — nieustają. Obecnie zjechał do Kopenhagi Gladstone, poprzednio zaś przybył już tam ks. Walii. Domyślni politycy widzą w tej podróży oznaki zbliżającego się przymierza Anglii i Rosyi, do którego nie omieszka przystąpić i Francya. Udział jej jest nieodzownym i według zapewnień gazet angielskich rząd brytański patrzy niechętnem okiem na politykę kolonialną rzeczypospolitej, z obawy, że Francya, zająwszy swe siły w dalekich stronach, nie będzie mogła z odpowiednią energią wystąpić na stałym lądzie. W tej myśli rząd angielski podjął się nawet pośrednictwa w załatwieniu zatargu z Chinami i dzięki jego staraniom pokojowe zakończenie sprawy wkrótce przyjść ma do skutku. Nowy traktat zapewni obszerne rynki, dla handlu francuskiego i rozszerzy znacznie granice kolonii.

Stan rzeczy w Bulgaryi, który nasuwał groźne obawy i doprowadzić mógł do międzynarodowych zawikłań, uległ w ostatnich czasach zmianie na lepsze. Zatarg między księciem i ministrami zakończony został polubownie. Zwołano w tych dniach zebranie narodowe i odczytano manifest księcia o przywróceniu konstytucyi, z pewnemi

zmianami w duchu bardziej zachowawczym. Nowo wypracowana ustawa, czy też, jak ją nazywają, statut organiczny, otrzyma moc prawną dopiero po zatwierdzeniu jej przez wielkie zebranie, które w tym celu niezadługo zwołanem będzie. Ministrowie rosyanie pozostali tymczasowo na urzędach, ale tylko dla załatwiania spraw bieżących, do kwestyj zaś zasadniczych nie mają się mieszać. A więc po kilkuletnich eksperymentach, przywrócenie konstytucyi w Bulgaryi okazało się koniecznem. Rosya wszakże zastrzega so ;, że siły wojenne bulgarskie pozostać muszą pod bezpośrednim jej kierunkiem. Żądanie to ma być uprawnionem politycznemi wymaganiami chwili.

W d. 15 września otworzony został sejm galicyjski. Stronnictwa nie ugrupowały się jeszcze ostatecznie, ale już teraz połączenie secesyonistów krakowskich i t. z. ateńczyków pod wodzą ks. Jerzego Czartoryskiego, Wojciecha Dzieduszyckiego i in. jest faktem dokonanym. Stańczycy wraz z partyą podolską i kandydatami urzędowymi utworzą również jeden klub pod prezydencyą Grocholskiego albo Al. Potockiego.

ISCHIA

przez

Ch. v. Klipsteina.

Ischia! We wszystkich ustach twe imię, we wszystkich sercach smutek po tobie. Straszna wieść o twoim losie rozlega się od południa ku północy i wszędzie znajduje odgłos. Myśli nasze przenosiły nas zawsze ochoczo pod to prześliczne niebo błękitne, gdzie morze nieskończone, gwarząc i igrając, ożywiało twe żyzne pobrzeża, a jak wtedy marzyły z tęsknotą o twej piękności i ulatały do twego raju sławnego, tak dzisiaj świętem otaczają cię współczuciem. Malarze ocenili cię i w barwach świecących wyrazili twe wdzięki, żar twego życia i całą twą wspaniałość, poeci wyśpiewali wdzięk i piękność twych kobiet, świat ci zazdrościł i podziwiał cię, jak dziś cię opłakuje i smuci się wraz z tobą nad zniszczoną sławą. Tysiące śmiejących się obrazów otaczają nas wokoło, zajmując naszą fantazyę wrażliwą — któż mógłby je pochwycić i znowu odtworzyć!

—Wpleć mi ten granat w warkocze, Teresino, ja go chcę mieć dzisiaj w tańcu. Peppo mi go podarował. Od tak dawna jest mną zajęty, niepewność siły mu odbiera; ja go chcę uspokoić, odpłacając mu wzajemnością. Ojciec obiecał dać nam swe zezwolenie, kwiat ten powinnam nosić publicznie — pójdź, wpleć mi go we włosy, Teresino. Czy słyszysz głos mandoliny? Prześpiewam mu najpiękniejsze moje pieśni, rybacy i rybaczki zatańczą w około nas i powiedzą, że jesteśmy najpiękniejszą parą, a malarz niemiecki odmaluje nas i uniesie do swej dalekiej ojczyzny. Powiedz, czy nie zdaje się, jak gdyby anіołowie w niebie cieszyli się z naszego szczęścia? O, pójdź, noc tak wspaniała, księżyc i gwiazdy przyświecają z góry, a obraz ich, odtworzony na gładkiej morza powierzchni, wita nas raz jeszcze. Pójdź, spieszmy się, by Peppa uczynić szczęśliwym.

I piękne kobiety, trzymając się pod rękę, mkną przez park milczący ku miejscu, gdzie coraz głośniej słyszeć się dają słabe dźwięki mandoliny.

Dalej na wzgórzu, w gmachu wspaniałym, huczna brzmi muzyka; w błyszczących salach plączą się szeregi przybyłych poszukiwaczów uciech w tem rajskiem ustroniu, albo ratunku od dolegających im cierpień, świeżości dla znękanej duszy lub zranionego serca. Casamicciola przyjmuje wszystkich z rozrzutną gościnnością, to raj ziemski!

W niszy okna, na stronie od gwarzącego towarzystwa, siedzi człowiek samotny i pisze: „List twój ostatni otrzymałem, Maryo! Tysiące podziękowań zasyłam ci za to, nowy to bowiem dla mnie dowód, jak szczęśliwy jestem w twojem posiadaniu. Za osiem dni powracam do was — nareszcie!“ „Jak odnaleźć cierpliwość, bym mogła przeczekać tę wieczność,“ wołasz do mnie, a ja ci odpowiem — długo, długo okazywałaś cierpliwość, a teraz, gdy tak blisko jesteśmy pożądanego celu, chcesz ją stracić i nie wiesz, gdzie masz jej szukać? W twem sercu, dziecię, w szlachetnem, litościwem sercu błogosławisz tę Ischię, która wróciła mi moje zdrowie, tobie męża, dzieciom naszym ojca zachowała a ja ci wtóruję z całej duszy:

„Boże błogosław ją tysiąckrotnie. Bądźcie zdrowi, moi ukochani, rozdział mój z wami liczcie już tylko na godziny! Godzina dziewiąta! Jak wolno czas upływa, gdy szczęście nas czeka! Dobranoc!“

Tam przechodzi ona, ta postać królewska; włos bujny, jasny, nad wysokiem zwieszający się czołem i w długich ciężkich splotach na pyszną spadający szyję, okala wspaniałą głowę madonny — żywą twarzyczkę! Jak jest piękną! On zbliżywszy się ku niej, długie, ogniste rzuca na nią spojrzenia, ona uśmiecha mu się słabo i znacząco.

— Czy będziesz pani śpiewała dzisiaj?— pyta.

— Tak, Don Philippo, będę ci śpiewała, dopóki zechcesz mnie słuchać, skoro tylko ten anglik odejdzie od fortepianu.

— Czy on to dziś jeszcze uczyni, diva?

— Z pewnością, i chociażby nawet o północy, zaśpiewam ci dziś jeszcze.

— A tekst?

— Jest tutaj — pójdźmy na balkon, tam go odczytamy — tam — tutaj drażni mnie gra na fortepianie tego pana.

— Czy dzieci śpią już, Sasza?

— Tak, księżno.

— Czy mąż mój wyszedł jeszcze?

— Tak, księżno, na bilard.

— Przynieś mi okrywkę czerwoną, pójdę na pół godziny jeszcze do sali koncertowej. Uporządkuj garderobę moją na jutro, żółty atłasowy ubior. Daj baczność także, ażeby Wiera pozostała przy dzieciach, by im się nic złego nie stało. Godzina dziewiąta — nie długo tam zabawię.

— Nie odchodź, cher François! Strasznо mi tutaj zawsze, gdy wieczór nadchodzi. Duchy wyspy unoszą się nad morzem, słychać szepty tysiącznych ich głosów w ciemności, a z pod ziemi coś uderzało dzisiaj kikakrotnie o naszą powierzchnię, tak że się wszystkie ściany zatrzęsły i regulator stanął. To oznacza nieszczęście, François— zostań tutaj.

— Jedną chwilę tylko — naciągnij regulator, będzie szedł znowu dalej ochoczo — muszę powiedzieć jeszcze portierowi, by nas wcześnie zbudził, gdyż o ósmej mamy wyjechać; wracam natychmiast — *à revoir, ma belle petite*!

— O ta Ischią, Heleno! Jak to dobrze że papa pozwolił nam pozostać tu kilka tygodni jeszcze — czy cię znużyła tęsknota?

— Przeciwnie, orzeźwiła ducha i ciało. Patrz, ułożyłam wiersz, który natychmiast przesyłam papie, by mu dowieść, że przepowiadana przezeń tęsknota za krajem daleką jest od nas; brak nam bowiem czasu wolnego dla godnego jej przyjęcia!. Słuchaj:

Motto: Zobacz Neapol
i umrzej.

Tęsknoty dusza moja nie zaznała,
Zdumiona pięknem, żyje wciąż w zachwycie.
Cassamicciolo, kraino wspaniała!
Na ciebie patrzeć i zakończyć życie...

Co papa powie na to Heleno?

— Że otrzymuje więcej, niż żądał; dając nam pozwolenie na dłuższy pobyt, nie myślał wcale przedłużać go nam na całe życie. Zresztą jazda mnie znużyła, każ pobiedz swojemu pegazowi do domu i sama udaj się na spoczynek — dobranoc, Heleno.

— Dobranoc! Śpij szczęśliwie!

— Czyście zanieśli kolacyę pod numer piąty? Państwo czekają. Czy postawiono w chłodzie szampańskie dla księcia K.? W sali koncertowej żądano lodów, a w numerze dwudziestym dzwoniono powtórnie —czy słyszycie?... Bębnią... słuchajcie... Krzyk bolesny!...

Słuchajcie, straszne cienie nieszczęsnej Pompei, dlaczegóż przerzucacie się z ponurej przeszłości do współczesnego życia, by je okrutną zniszczyć mocą?! Opuściliście swe groby, by wznowić starą tragedyę, przejmującą serca ludzkie trwogą okropną!...

Czasy nasze przepełnione już tylu strasznemi nieszczęściami — teraz wy jeszcze zjawiacie się tutaj?...

Nikną we mgle nasze obrazy ukochane, a pył walących się płaców i zapadających się chat pochłania je z przed naszych oczu! Fantazya nasza sparaliżowana nie może śledzić dłużej i przelękniona cofa się napowrót, coraz więcej i więcej!...

Nie mogłaś mu dłużej śpiewać swej pieśni, dumna divo? Sama go tam powiodłaś i znaleźliście śmierć pod gruzami oboje, i żadne oko nie widziało was więcej!!

Lecz Peppo widział zapewne jeszcze granaty w warkoczach swej rybaczki i w jej objęciach do szczęśliwszego dostał się świata?... List jednak do Maryi leży wraz z swym autorem pod gruzami Casamicciоli, ona pozbawioną została męża, dzieci straciły ojca — gdzież znajdzie cierpliwość, by oczekiwać chwili połączenia, gdy osiem dni zdawało jej się wiecznością?

Czy Wiera pilnowała dzieci, aby nic złego im się nie stało, podczas gdy matka przepędzała czas dla rozrywki w sali koncertowej, a ojca przy bilardzie niespodzianie śmierć zaskoczyła? Co za obraz!

Śpijcie spokojnie! W gruzach spoczywa wasze szczęście, pod gruzami grób wasz, a ręce wszystkich narodów i wyznań z bezustanną zdobić go będą miłością. Przez króla opłakani, przez świat cały żałowani — nie wielu zdarza się to śmiertelnym, biedne cienie! Śpijcie spokojnie wy, którzy długo jeszcze zapewne musieliście odczuwać okropne przez was położenie, a żal po opuszczonych przez was osobach zwiększał jeszcze własne wasze cierpienia; śpijcie bez troski snem drogo wywalczonym — jak wielkiem jest nieszczęście, tak obfitą

będzie miłość ludzka i ona wzniesie wam pomnik, który ją samą przeżyje. Żegnaj Casamicciolo — piękność twa zjednała ci sławę, przez swój zaś zgon okropny zyskałaś nieśmiertelność!...

Tłom. *Dr. A. Złotnicki.*

KRONIKA BIEŻĄCA.

Karność szkolna. Kwestya przywrócenia kary cielesnej w szkołach rozstrzygniętą już została, jak donosi *Russkij Kurier*, i rozesłano okólnik w tym przedmiocie.

Sprawa Kraszewskiego. Głównie idzie o rozstrzygnięcie zasadniczego pytania, czy Hentsch w swych dziełach wojskowych używał materyałów, które mają być tajemnicą. Pruskie ministeryum wojny oświadczyło, że materyał przez Hentscha użyty nie jest tajnym, ani ogłoszenie jego wzbronionem.

Rewizya. Zakłady naukowe prywatne w Warszawie zwiedzone będą wkrótce przez delegatów okręgu naukowego, którzy następnie złożą kuratorowi raporty o stanie tych szkół.

Nominacya. Młody slawista, magister filologii Grot, mianowany został profesorem języka i literatur słowiańskich w uniwersytecie warszawskim.

Szabla Sobieskiego. *Czas* zamieszcza artykuł dowodnie wykazujący, że znajdująca się w Ermitażu petersburskim szabla, nigdy nie należała do tego króla, ale sfabrykowaną została niegdyś przez ślusarza Rawicza w miasteczku Nowomirhorodzie i przez wiele rąk przeszedłszy, dostała się wreszcie do zbiorów petersburkich. Oryginalna szabla, którą legiony polskie znalazły w Lorecie i ofiarowały Kościuszce, obecnie znajduje się w posiadaniu ks. Adama Sapiehy.

Nowa pożyczka. Na berlińskiej giełdzie krąży pogłoska o prowadzonych układach co do wypuszczenia zngranicznej pożyczki rosyjskiej. Projekt emisyi wewnętrznej pożyczki państwowej nie przyjdzie do skutku.

Kolonie niemieckie. Oficerowie generalnego sztabu, którzy opracowują mapę południowo - zachodnich gubernij, znaleźli na Wołyniu 80 nowych osad i wsi zamieszkałych przez kolonistów niemieckich. O istnieniu wielu tych osad miejscowa administracya nie wiedziała wcale.

Ostrzeżenie. Dziennik *Nowosti* — według *Praw. Wiestnika*—„za jawne okazywanie współczucia kierunkowi przewrotnemu jednej z gazet, względem której rząd zmuszony był przedsięwziąć szereg środków karnych (*Gołos*), oraz za fejleton *Szkolnaja złoba dnia*, w którym stan szkół umyślnie przedstawiony jest w smutnem świetle dla rzucenia cienia na działalność rządu w sferze pedagogicznej" — otrzymał pierwsze ostrzeżenie.

Rozwój złodziejstwa w Niemczech, świadczący o wzrastającym wciąż moralnym i ekonomicznym rozstroju, doszedł do tego stopnia, że nawet w audytoryach niektórych uniwersytetów rozwieszono ogłoszenia, ostrzegające przed złodziejami.

Zamach na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Praktyczni amerykanie wpadli na myśl porwania podczas podróży po południowych Stanach prezydenta Arthura, uwiezienia go w góry i zażądania wysokiego okupu. Ale jeden z uczestników zamachu zdradził tajemnicę i złoczyńcy zostali schwytani.

Zmarli: Henryk Conscience, znany powszechnie powieściopisarz flamandzki.

— Dr. Stanisław Kośmiński, autor wielu dzieł lekarskich. Ostatnie zaczął wydawać *Słownik lekarzów polskich od najdawniejszych czasów*, ale śmierć przeszkodziła mu ukończyć tę cenną pracę.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. M. Z. w Warkl. Zarówno to, że nie są dziełami „pomnikowemi," jak i to, że „stoją na wysokości tegoczesnej nauki" — wątpliwości nie ulega. B. nie jest reformatorem w ekonomii społecznej, ale jest uczonym poważnym.

Najemnikowi. Potrzebujemy znać szczegóły tego „przypuszczenia do udziału w zyskach."

P. Zygmuntowi F. w Płocku. Procesy tego rodzaju żydom (i u nas) wytaczano często, ale w nich używania krwi chrześciańskiej nie udowodniono. Jeżeli zaś ów p. rejent twierdzi, że udowodniono, niech powie: gdzie, kiedy i komu? Bo ogólnikowe wspomnienia nie przekonywają.

P. N. N. w Płocku. Nie wiemy, jakie ustępy witane były tak jaskrawo salwami wesołości. W każdym razie z listu Pańskiego wnosimy, że czytający mógł był swym słuchaczom oszczędzić tej gorszącej rozrywki z wielką korzyścią dla nich a z jeszcze większą dla samego przedmiotu. Bywają położenia, w których zwykły stolik winien posiadać świętość ołtarza, a uczący przy nim—powagę kapłana.

P. Em. Bajka A. Tr. brzmi tak:

„Czego skaczesz?—młodego gromił czyżyk stary—
Zamkniętym nie przystoi trzpiotać się bez miary
Raczej dumać i płakać.
A cóż ja wypłaczę?
Chcę kiedyś umieć fruwać i dlatego skaczę."

Jest to naśladowanie Krasickiego i nosi tytuł: *Dwa czyżyki.*

P. Romanowi S. w Rydze. Z niemieckich: lipski, berliński i wiedeński, z francuskich: paryski; szwajcarskie mają znaczenie drugorzędne.

P. W. A. Dzieje rozwoju umysłowego Europy Drapera, *Historya cywilizacyi* Hellwalda (po niemiecku). Tam są odsyłacze do innych dzieł. Warto także poznać *Naukę o ludach* Peschla.

P. Al. G. w Hrubieszowie. Odebrano.

Sprostowanie. W nrze poprzednim, str. 438, szp. 3, w. 5 od dołu zamiast: twierdzącej winno być *twierdząc;* str. 349, szp. 1, w. 23 zamiast: wychwalaniem ma być *wychwalanie*; w. 29 zamiast: p. Koźmian czyt. *p. Nieczui*; str. 435, szp. 3, w. 10 zamiast qui vous avez—*qui avez.*

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 9 Сентября 1883 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Swiętochowski.